Rok XII. **TYGODNIK KATOLICKI.** Rok XII.

№ 32. Grodzisk, 12. sierpnia 1871. № 32.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćroczne wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr, 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.
Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum, qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

Spis rzeczy: O Papieżu — nauka trzecia ks. Piotra Semenenki. (Ciąg dalszy). — *Korespondencye:* Rzym. — Z dekanatu św. Trójcy. — Ruch świata katolickiego. — Prasa a zmitrężenie obecne. (Ciąg dalszy). — *Dziennik poznański* w obec Kościoła. — Co przynosi *Dziennik poznański* w artykule swym: „Stanowisko nasze w obec rządu i ultramontanów." — *Wiadomości potoczne.* —

O Papieżu.

Nauka trzecia
X. Piotra Semenenki.

O Papieżu, jako podwalinie nadzieji,

to jest o jego

Sądowładztwie (Juryzdykcyi.)

Tobie dam klucze królestwa niebieskiego, i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związaném i w niebie. a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązaném i w niebie. (Mat. XVI. 19).

(Ciąg dalszy.)

O Chryste Panie, jedyny Mistrzu nasz! teraz zrozumieliśmy co jest i jakie jest nasze dobro; albowiem zrozumieliśmy Twoje słowo: *Wy przeto tak się modlić będziecie*! I jak Ty jesteś niezrównanym Mistrzem naszym, tak i ta któréj nas nauczyłeś jest jedyna nasza modlitwa, i to, nareszcie, jakie ona daje, jedyne nasze dobro.

Mamy tedy przed sobą dobro, przedmiot naszéj nadzieji i koniec naszéj drogi; mamy modlitwę, która nam ciągle je przypomina, i żywiąc w duszy ogień święty, prowadzi do niego po drodze żywota. Lecz czy modlitwa, choć najdoskonalsza, wystarcza tu sama jedna?

Człowiek jest stworzony do modlitwy: i tak jak człowiekiem być przestaje kto stracił nadzieję, tak również przestaje być człowiekiem ten, który się już nie modli; a przynajmniej wkrótce przestanie nim być zupełnie. Pomijając wyjątki, dotąd nie liczne, chociaż niestety z dniem każdym mnożą się one, w miarę jak w skutek postradanéj wiary giną i wyższe nadzieje, pomijając, mówię, te smutne i niczego nie dowodzące wyjątki, człowiek modlił się zawsze i modli się wszędzie. Potrzebuje dobra, pragnie go, chce je posiąść: więc się modli. Ażali jednak zawsze i wszędzie modlitwa człowieka otrzymuje swój skutek?

Niestety, między modlitwą a jéj skutkiem stoji pośrodku niezwyciężona przeszkoda: stoji grzech. Żeby modlitwa skutek otrzymała, trzeba koniecznie, aby ją Bóg wysluchał; lecz my wiemy, że grzeszników nie słucha Bóg: *Scimus autem quia peccatores Deus non audit* (Jan IX, 31).

W jednéj rzeczy Bóg wysłuchiwa grzeszników, wtedy ma się rozumieć, kiedy się modlą o nawrócenie, kiedy wołają: *Ale nas zbaw ode złego*! Téj pierwszéj próby, tego początku modlitwy naszéj Bóg zawsze jest gotów wysłuchać. Lecz i tu jeszcze skutku nie zapewnia modlitwa sama jedna, i tu jeszcze trzeba pewnych warunków; trzeba, aby dopełnił, czego modlitwa nie daje, i aby w nas dokonały zniszczenia grzechu te środki zbawienia, które nam przyniósł Zbawiciel, i które zostawił w kościele swoim pod strażą i pod kluczami Piotra. Bez nich modlitwa najgorętsza nie znajdzie żadnéj rady, i zbawienia ode złego nie ma bez tych środków, i bez tych warunków.

— Mój Boże, trzeba nam przypomnieć sobie co to było na świecie przed Zbawicielem, trzeba choć okiem rzucić, choć myślą przebiedz, co się dzieje tam, gdzie nie dosięgła jeszcze, lub skąd się usunęła jego ręka, od grzechu zbawiająca i dopełniająca w skutku i czynie pragnienia i modlitwy człowieka. Tam wszędzie stał, lub stoji ten okrutny zawadziciel, grzech: jako zapora niezwyciężona, brama nieprzebyta, iście żelazne wrota o wrzeciądzach ze stali, do których pomimo modlitwy człowieka nie ma klucza, na które znikąd nie ma obucha, ani tarana, by je otworzyć lub skruszyć. A jednak, dla Boga, póki tego progu człowiek nie przestąpi, między nim a dobrem prawdziwém, a każdém oném dalszém i nareszcie ostateczném dobrem, nie ma żadnego możebnego spotkania; nadzieja człowieka nigdy dobra nie ujrzy, ręka się go nie dotknie, serce nie imie, owszem zgaśnie w sercu ostatnia nadzieji iskierka, i pozostanie mu jeden tylko rozpaczy grób. *Solum mihi superest sepulchrum* (Hiob. XVII, 1).

Chciałbym Cię widzieć człowieku, co sobie poczynasz, kiedy sam przez się kusząc się pozbyć grzechu, i przestąpić własnemi siłami ów próg zaklęty, wciąż sobie tłuczesz głowę o ten mur żelazny u wejścia? Lecz już widzę, co ludzie wtenczas czynią. Jedni na sam widok się cofają, tłumią w duszy ostatnie westchnienie ku prawdziwemu dobru, obracają się w tył, i nareszcie, o dobrem zrozpaczywszy, w samym grzechu szukają jego pozoru niby, i jakoby wynagrodzenia za dobro. Drudzy szlachetniejsi, raz pokusiwszy się o przystęp, kuszą się i kuszą jeszcze, same zawody zdają się im dodawać otuchy, natężają sił ostatnich; ale niestety i ci przychodzą na koniec, choć do szlachetniejszego, do nie mniéj jednak okrutnego zrozpaczenia. Tu szczególniéj

tu chciałbym cię widzieć, serce ludzkie, co sobie wtedy poczynasz?

Albowiem o pierwszych nie warto może i mówić. Ludzie bez serca, a często bez rozumu, bez uczucia szlachetniejszego i bez wznioślejszéj myśli, śmiecie rodzaju ludzkiego, lub jego szumowiny, jedno tylko znają, i jednem żyją: materyją. — Już złe dla nich złem być przestało, i grzech nie jest grzechem; owszem, to jedyne ich dobro. Niechże tedy idą za nim; nam już nic do nich, to już nie ludzie. Chyba tylko dla nauki moglibyśmy jeszcze czas jaki spoglądać za nimi: rychłoli i w jakiéj mierze zostaną zwierzętami? W tę stronę szedł coraz prędszym krokiem świat rzymski, w tę samą stronę biegły zapomniane, lub nieznane, przez stary świat nasz, inne społeczeństwa ludzkie, i kiedy pierwszemu na téj drodze nadarzyło się szczęście bycia ocalonym przez Chrześcijaństwo, drugie nieszczęśliwsze dobiegły do samego kresu, i znalazły się na dnie przepaści. W pewnéj chwili w dziejach, Opatrzność odchyliła zasłonę, i pokazała widok przez długie wieki zgotowany, a niewidziany dotąd; stary świat przez Chrześcijaństwo ocalony ujrzał na raz inne światy, które pominęło Zbawienie, ujrzał naprzykład świat Amerykański, lub środkowy Afrykański, i zadrżał; bo zobaczył w rzeczy i w prawdzie jak człowiek przemienił się w zwierza. Zobaczył, coby inaczéj zdawało się niemożebnem, że ostatniém dobrem takiego zwierza ludzkiego, jego najpożądańszym celem życia tu na ziemi, najsmaczniejszą ucztą, jest mięso ludzkie, i jeszcze surowe. Nie trzeba się nam mylić: ludożerstwo nie jest wyjątkiem, jest ono ogólnym a fatalnym i ściśle logicznym kresem drogi, do którego człowiek i społeczeństwo prędzéj lub późniéj, ale koniecznie dobiega, skoro raz od dobra prawdziwego to jest, od chrześciańskiego odwrócone, obróci się do materyji i w niéj swoje dobro umieściwszy, w niéj go szukać będzie. Jeżeli tu nie doszedł był jeszcze świat ów stary rzymski, jeżeli jaki inny z poza chrześciańskich okrom tych, które wymienieliśmy, dziś nie doszedł tu jeszcze, to tylko kwestya czasu, ale nie kwestya natury ludzkiéj; i przypuściwszy, że Chrześciaństwo nie pośpieszy na czas ocalić inne światy, tak jak rzymski ocaliło; więcéj nawet, przypuszczając, że sam ten świat z rzymskiego, chrześcijański swojego Zbawiciela odepchnie, natenczas i ten i tamte, cały jedném słowem rodzaj ludzki tą śmiercią będzie musiał umrzeć; skończy na czém i zwierzęta nie kończą: na samopożarciu. Tu dopiero otwierają się nam ostatecznie oczy, i wiemy nareszcie co to znaczy: *Ojcze: zbaw nas ode złego*!

Oddalmy się z przerażeniem od tego widoku, jakkolwiek był potrzebnym i zbawiennym, a zwróćmy się do serca ludzkiego, kiedy ono na prawdę chce się przedrzeć do dobra, chce go dosięgnąć, i kiedy z całą potrzebą tego dobra w łonie, stanie w onego progu, przed oną bramą nieprzebytą, dzielącą je od dobra prawdziwego, a któréj imię grzech. Co tu wzdy pocznie biedne serce ludzkie? Co tu sobie poczynają oni inni ludzie, o których zaczęliśmy mówić, a którzy niepodobni do tłumu co nas przed chwilą zajmował, kuszą się owszem o przebycie złowrogiéj zapory? Ci, może jeszcze nieszczęśliwsi! nie kończą wprawdzie na samobójstwie z szału zmysłów i rozpusty, atoli kończyć zwykli na samobójstwie, z szału myśli i zwątpienia. Dość spojrzeć na oszczątki dzisiejsze jeszcze starodawnéj Indyi. Ta Indya, to inny świat, który nam Opatrzność na naukę zgotowała, jak zarazem na świadectwo swojego dzieła zbawienia i jego konieczności. Czego tam ludzie nie czynili i nie czynią, aby się pozbyć grzechu! Cześć im za to przynajmniéj, iż nie zapomnieli, iż całém złem człowieka jest grzech. Otóż, czego oni nie czynią? Żal mi istotnie, że te przykłady tak mało są znane w naszym świecie, i że wiadomości o tém ogromném społeczeństwie indyjskiém, tak skąpo albo i zgoła nie wchodzą do przedmiotów uczenia, iż chcąc o nich mówić naraża się na niedogodność rozprawiania o krajinie nieznanéj i niesłyszanéj. Zbyt atoli te przykłady wchodzą do niniejszego przedmiotu, bym o nich na los wszelki wspomnieć jednak nie miał. Czegoż tedy tam ludzie nie czynią, by się od złego, by się od grzechu uwolnić? Wszystkie ogołocenia świętych zaprzańców duchownych, wszystkie dobrowolne kary i cierpienia pokutników Chrześciańskich, wszystkie nawet najsroższe męczarnie pierwszych męczenników kościoła, ledwie, że mogą iść w porównanie z tém, co czynią owi brahmańscy nie mniéj dobrowolni zaprzańcy i pokutnicy. Biedni ludzie! jakże gorąco chcą się pozbyć złego, jak koniecznie dostać się do dobrego! Istne wielkoludy ludzkiéj moralnéj siły, nowe Tytany, w wysiłku nadludzkim chcą koniecznie wyjść z piekła, i już raz je porzucić; chcą już raz przecie zdobyć niebo, i posiąść zbawienie. Tylko biadaż im, że to czynić muszą własną pięścią, i kruchą siłą ludzką! Wszystkie ich olbrzymie wysiłki roztrącają się o ten sam mur nieprzełomny, i po długoletnich, po wiekowych wysileniach skutek zawsze tenże sam, żaden! Owszem, mylę się mówiąc, że żaden: skutek daleko okropniejszy: jakkolwiek nie kończą oni na samopożarciu, kończą jednak na samozniszczeniu. Dali za wygrane złemu: nie mogąc złego zniszczyć, niszczą siebie samych; i zamieniwszy nadzieję oczekiwinia na nadzieję rozpaczy, rzekli: że ostatnim celem człowieka, i ostatniém zbawieniem, jest zstąpienie istoty jego do nicestwa; i to rozmyślne, dobrowolne, własnoczynne zstąpienie do nicestwa; — prawdziwe samozniszczenie*).

---

*) *Nirwanah* jest imie tego samozniszczenia. Wprawdzie jest to dogmat Buddhyzmu, a nie Brahmahizmu, ale to wszystko jedno; mianowicie zaś dla dwóch powodów: naprzód że Buddhyzm jest logiczném i prawowitém zakończeniem Brahmanizmu, a następnie, że cała zasada nauki i cały układ praktyk co do złego, pokuty i zbawienia, rdzennie ten sam jest w Brahmanizmie co i w Buddhyzmie; powody jeno i cele się różnią; i to jeszcze powierzchownie tylko.

Otóż naprzód Buddhyzm jest dokończeniem Brahmanizmu. Można doskonale porównać jeżeli nie rzecz do rzeczy, tedy stosunek, jaki zachodzi między Brahmanizmem a Buddhyzmem, do stosunku, jaki ma miejsce w prawdziwéj religii między starym zakonem, to jest Żydowskim, a nowym, to jest Chrześciańskim. Tylko rozumie się, że ten ostatni stosunek jest dodatny, kiedy ów pierwszy jest ujemny; stosunek żydostwa do Chrześciaństwa, ma się, jak zapowiedź prawdy, albo jak półprawdy do prawdy całéj; zaś odwrotnie stosunek Brahmanizmu do Buddhyzmu ma się jak resztki prawdy, albo znowu jak pół prawdy do całéj nieprawdy. Są którzy porównywają Buddhyzm do protestantyzmu, a Brahmanizm do katolicyzmu; jest i w tém niejaka odpowiedność dość prawdziwa, pod tym mianowicie względem, że Buddhyzm niszczy oną pozostałą jakąkolwiek prawdę, która się w Brahmanizmie zamykała, tak jak protestantyzm zaprzecza z początku, a w rozwijaniu kolejném zaprzeczenia, niszczy w końcu całkowicie tę inaczéj pełną, i owszem całkowitą prawdę, jaka się zamyka w katolicyzmie. Jest w tém przeto dostateczne podobieństwo, i podstawa porównania. Jednakże daleko jest stósowniejsze porównanie, i podstawa jego rzeczywistsza, kiedy kresy porównania tak postawimy, jakeśmy to wyżéj uczynili. Żydostwo jest przesłańcem Chrześciaństwa, i Brahmanizm jest poprzednikiem Buddhyzmu. I Żydowstwo i Brahmanizm mają tylko półprawdy; atoli ta półprawda w Żydostwie jest żywa i rosnąca, i tylko we śnie jakoby leżąca coraz lżejszym, by się nareszcie w Chrześciaństwie przebudzić; kiedy podobnaż półprawda w Brahmanizmie jest chora, i coraz więcéj omdlewająca, i jakoby w letargu konania czekająca tylko na Buddhyzm aby w nim umrzeć. Żydostwo jest mrokiem kończącéj się nocy, wyglądającym wschodu słońca Chrześciaństwa, który przyniesie dzień biały i jasny katolicyzmu; kiedy Brahmanizm jest zmierzchem zapadającego wieczora, po którym niezawodnie nadchodzi północ Buddhyzmu, mogącego się iście nazwać: *ciemnym i czarnym katolicyzmem*. Ostateczności najlepiéj stykają się z sobą logicznie, i Buddhyzm nie z protestantyzmem, ale z katolicyzmem, jako ostateczne przeciwieństwa, stoją obok siebie w najlogiczniejszém, a pod tym względem w najprawdziwszém porównaniu.

Druga przyczyna, dla któréj owe samozniszczenie, czyli *Nirwanah*, wła-

Okrutny koniec drogi! I czy już nie widzimy, w tym drugim przypadku jeszcze lepiéj, niż w pierwszym, że nie człowiek złe pokonał, ale złe pokonało człowieka? I czy teraz nie tém bardziéj uciec się nam wypada, do jedynéj modlitwy, i jeszcze z głębszéj niejako głębi zawołać: *Ojcze zbaw nas ode złego!* Zbawicielu od Ojca zesłany, Jezu, Panie nasz, przyjdźże i daj nam środki, i w rzeczy saméj *zbaw nas ode złego*! Bez Ciebie Ojcze, i bez Ciebie, Panie, nie ma zbawienia: bez Ciebie tylko grzech, tylko złe; na około nas wszędzie: i przed nami, i pod nami, i nad nami grzech, i złe tylko! Dziecko ludzkie próżno się szamota, i walczy z niepodobieństwem, i, by dobrze chciał człowiek, tedy straszliwemu zadaniu podołać sam nie może. Ojcze, Panie! Ty przeto *zbaw nas ode złego*! A Ty Chryste Zbawicielu, daj nam środki do zbawienia!

II.

Wiemy co się stało. Widzieliśmy jak prawda i światło stanęły ongi osobiście na ziemi, by zbawić człowieka od błędu; aliści w téjże saméj osobie zjawiło się na świecie dobro nasze i Zbawiciel, aby nas oswobodzić od grzechu; i jak pierwszy promień prawdy żywéj, rozpędził wiekową ciemność, tak pierwsze dotknięcie ręki Zbawiciela skruszyło grzechowe jarzmo. Czego dokazać nie mogły wszystkie potęgi człowiecze, czego żadne olbrzymy ducha ludzkiego, żadne by najzuchwalsze zapaśniki woli, o włos jeden nie mogły poruszyć, to on w prochu położył jednem ściągnięciem palca. Eh! i tyle go nie kosztowało: Słowem jednem stworzył Bóg niebo i ziemię, i On jednem słowem przetrącił wszystkie zapory, zdruzgotał pęta, zniweczył grzech; — na to jedno słowo obaliły się, samopadłszy, bramy żelazne przystęp tamujące; za niemi do dóbr wiekuistych swobodny i jasny odsłonił się tór, a zwycięzca złego, książe wiecznego pokoju, Zbawiciel, stanął na wolnym progu, i rzekł wszystkim (pierwsze słowo, dopełniając drugim): Jam jest droga, *Ego sum via* (Jan XIV, 6)! Pójdźcie do mnie wszyscy; *Venite ad me omnes* (Math. XI. 28.)! Tyle uczynił, i jednem słowem.

Że rzekł to drugie słowo: *Ja jestem droga,* tém samem dał się poznać, iż jest Zbawicielem, że nas już zbawił od złego, i że już otworzył do dóbr wszystkich drogę. Ale jakież było ono pierwsze słowo którém nas od samego złego wybawił, i boską jego siłą dokonał, czego żadne ludzkie siły dokonać nigdy nie zdołały?

Niechże ciebie usłyszę, o słowo cudowne! „Ufaj Synu, powiada, odpuszczają się Ci grzechy twoje!“ *Confide, Fili, remittuntur tibi peccata tua* (Math. IX. 2, Mar. II. 5). Niewiasto! „Odpuszczają się tobie grzechy, idź w pokoju.“ *Mulier, remittuntur tibi peccata... vade in pace* (Łuk. VII. 48. 50)! „Już więcéj nie grzesz.“ *Et jam amplius noli peccare* (Jan VIII 11)!

Takiego słowa jeszcze nigdy do onego czasu i chwili, nikt z ludzi nie był wyrzekł, i nikt nie był słyszał. To téż ci, co je pierwsi posłyszeli, zdjęci podziwieniem i jakoby zgrozą, szepcą między sobą. „Co to On mówi? Bluźni! któż może odpuszczać grzechy, jeźli nie sam Bóg?“ *Quid hic sic loquitur? Blasphemat. Quis potest remittere peccata nisi solus Deus* (Mar. II 7)? Ludzie, macie słuszność, i dobrze mówicie, że nikt grzechów odpuszczać nie może, jeno sam Bóg; tylko dla czego dodajecie, nieszczęsni! że on bluźni? Słuchaj przynajmniéj co wam odpowiada: „A co to tam myślicie, prawi, w sercach waszych? Co jest łatwiejszego: ażali powiedzieć powietrzem ruszonemu: odpuszczają ci się grzechy twoje? czy téż: Wstań, podnieś łoże twoje, i chodź? Byście przeto widzieli, że Syn człowieczy ma władzę, na ziemi odpuszczania grzechów (obróciwszy się do powietrzem ruszonego); Tobie mówię: Wstań, podnieś łoże twoje, i idź do domu twego (Mar. II. 8—11.)? — I dodaje święty Życiopisiec; „A on natychmiast wstał, i pochwyciwszy łoże, odszedł w obec wszystkich, tak, że dziwowali się wszyscy;“ — i kończy o tych innych, mędrszych i szczęśliwszych, aniżeli tamci pierwsi sędzowie pośpieszni a zaślepieni, powiadając o nich: „że dali chwałę Bogu i mówili: Jeszcześmy tego nie widzieli!“ *Quia nunquam sic vidimus* (Mar. II. 12.)!

Tak, zaiste; jeszcze tego świat był nigdy nie widział, nigdy nie słyszał, nigdy nie doświadczył. Jeszcze aż do onéj doby nikt do rodzaju ludzkiego, złożonego na barłogu złego i grzechu, i niemogącego się podźwignąć z rozpaczy niemocy, nikt nie był się zbliżył i rzekł mu: odpuszczają się tobie grzechy twoje, wstań i chódź! Chrystus Pan pierwszy, i jedyny to mu powiedział; a natychmiast, na dowód prawdy jego słowa, rodzaj ludzki porwał się ze swego łoża zdrowy i rączy, i jął chodzić swobodny, i błogosławić Zbawicielowi swojemu.

Niechże Cię przeto wciąż słyszę, i brzmij mi w uszach bezustannie, słowo cudowne: *Odpuszczają się tobie grzechy twoje*! W tobie znajduję czego świat tak długo nadaremnie szukał, zaspokojenie najgwałtowniejszéj potrzeby duszy, spełnienie najpierwszego pragnienia serca, zadowolenie jego wszechczasowego jęku, i téj modlitwy, tak długo głęboko przytłumionéj, na końcu tak głośno wydobytéj z piersi: *Ojcze! zbaw nas ode złego*! I niechaj patrzą na cudowny skutek tego słowa w Zbawicielu moim, wciąż przed duszą i przed sercem, niech mam tego Zbawiciela, i to, które On mi przynosi zbawienie: On wrota moje do tego zbawienia. *Ego sum ostium* (Jan X. 9), on moja droga, *Ego sum via*, on niszczy rozpacz grzechu, on wzniéca otuchę nadziei, on ją prowadzi bezpiecznym szlakiem, on ją z dobra do dobra, z życia do

---

ściwe Buddhyzmowi odnosi się równie dobrém prawem i do Brahmanizmu, jest spólność i tożsamość, że tak powiem, praktyk moralnych i pokutniczych obojga Systematów religijnych, jako téż ich powody i przyczyny. Przyczyną i powodem tych praktyk, jest w jednym i w drugim, potrzeba i chęć pozbycia się złego; a ponieważ złem nareszcie jest jak u jednych tak u drugich życie samo, to życie, które pędzimy w dziedzinach *Moji*, ułudy, to jest na tym świecie zwodniczym, przemijającym, sennym i wierzchnie nierzeczywistym; więc powodem i przyczyną tak u jednych jak u drugich, jest pozbycie się nareszcie życia samego. Praktyki zaś służą jako środki do tego celu, i jak powiedziałem: są spólne obu naukom religijnym. Wprawdzie Brahmanizm wyobraża sobie ten cel jako pwwrót do Bóstwa, (Brahma) i zanurzenie się w niém, a Buddhyzm go bierze jako proste zstąpienie do nicestwa; ponieważ jednak owo zanurzenie się w Bóstwie Brahmanów jest zupełném w niém zginięciem, i zatratą wszelkiego osobnego i osobistego istnienia, więc i co do tego celu, jeśli idealnie się różnią, faktycznie wszakże zgadzają się na jedno oba Systemata. Z resztą ów *Brahma* Brahmanów, czemże jest inném, w rzeczy i w istocie, jeśli nie taką samą przepaścią nicestwa, jaką i owa druga przepaść, owo *Nirwanah* Buddhystów? Więc kres téj drogi jaki tu jest, taki i tam, i jak u Buddhystów tak i u Brahmanów, w rzeczy i w istocie, ostatnim kresem olbrzymiéj całego żywota pracy, w pozbyciu się złego, nic innego nie jest jedno samozniszczenie.

Przepraszamy czytelników, żeśmy o rzecz tak ważną trącili tak pobieżnem dotknięciem. Sądzimy wszelako, że te kilka rysów wyraziło dostatecznie ogólny charakter rzeczy, o ile nam jest potrzebny, do naszego zastanowienia się. Chodziło nam o to, aby obok prawdziwéj katolickiéj nauki, o środku jedynym pozbycia się złego to jest grzechu, postawić najskrajniejszą, a zarazem najlogiczniejszą, i najcałkowitszą naukę ludzką, o tym samym przedmiocie. Tylko przez odciąganie, sprawdza się dodawanie, przez wyświecenie zaprzeczenia, stwierdza się zatwierdzenie, jak w ogóle tylko w obec cieniów uwydatnia się światło; a im cięń mocniejszy, tém światło wydatniejsze. Mamy nadzieję, że cień tu położony jest dosyć wyraźnym, tak jak jest w sobie prawdziwym; i że może w odpowiednéj mierze posłużyć, do uwydatnienia przeciwnego światła, zawartego w nauce katolickiéj.

życia wprowadza, on ją doprowadza nareszcie do kresu, do żywota wiecznego. Ale kamieniem węgielnym, pierwszą podstawą, początkiem, przyczyną, sprawcą całego zbawienia jest ono jedno cudowne słowo: *Synu! odpuszczają się tobie grzechy twoje!* Bez tego pierwszego nie byłoby dalszego, nie byłoby było żadnego zbawienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Rzym. Korespondent rzymski do *Czasu* pisze:

Z Akademii religijnéj, przybyła do Watykanu deputacya z prezesem Akademii na czele. Papież odpowiedział prezesowi na jego przemowę w tych mniéj więcéj słowach:

„Przyjmuję te objawy uczuć, i wiem także, jak gorliwie i uczenie członkowie Akademii religijnéj starają się bronić prawdy, i zwalczać błędy, które przeciw niéj występują. Wśród rozmaitości przedmiotów, jakie się Wam przedstawiają, jest jeden, który w téj chwili zdaje mi się być wielkiéj wagi; mam tu na myśli potrzebę odpierania zamachów przedsiębranych dla wykrzywienia idei nieomylności papiezkiéj. Między wszystkiemi temi błędami najzłośliwszy jest ten, który zmierza do tego, aby przypisywać Papieżom prawo detronizowania panujących i uwalniania ludów od obowiązku wierności. Lubo różnemi zawodami prawo to wykonywane było przez najwyższych pasterzy w przypadkach ostateczności, ale nie ma ono żadnego związku z nieomylnością. Zwierzchność papieży, podług prawa publicznego naówczas obowiązującego i za zgodą narodów chrześciańskich, które widziały w najwyższym pasterzu najwyższego sędziego w chrześciaństwie, rozciągała się aż do rozsądzania między książętami i państwami pod względem nawet prawa cywilnego. Ale obecne okoliczności są całkiem odmienne. Złość chyba zdolną jest mięszać rzeczy i czasy tak różne do tego stopnia, iż dawano do zrozumienia, jakoby wyrok nieomylny o jakiéj zasadzie objawienia, zostawał w powinowactwie z prawem, które papieże, powołani głosem ludów, musieli pełnić, gdy tego dobro pospolite wymagało. Jasno można widzieć powód, dla którego wydobywają dziś tę myśl tak niedorzeczną, a o któréj nikt nie myśli, najmniéj zaś sam Papież. Wyszukują pozorów najbłachszych i najdalszych od prawdy, aby podburzać panujących przeciw kościołowi. Są tacy, którzyby chcieli przywieść mnie do tłomaczenia i objaśniania nadal definicyi soborowéj. Nie uczynię tego; jest ona sama przez się jasną i nie potrzebuje ani komentarzy, ani tłomaczeń. Kto czyta dekret z umysłem szczerym, dla tego prawdziwy jéj duch jest prosty i przystępny. Mimo tego, nic nie przeszkadza, abyście przy waszéj nauce i przy waszéj wiedzy nie mieli zwalczać błędów, które by mogły rodzić złudzenia i wepchnąć nieświadomych na mylną drogę. Niech Bóg błogosławi waszym pracom i wiedzie je do tego celu, który powinniście kochać i pragnąć go nadewszystko, a jest nim szerzenie prawdy, chwały Boga i jego kościoła."

Osservatore Romano wymienia biskupów węgierskich, którzy uznali nieomylność i przystąpili do uchwał soboru powszechnego. Są to biskupi z Erlau czyli Jagoru, Nowego Zwolenia, Nitry, Koszyc, Fünfkirchen, z Satmaru, Stein-am-anger, Zengg, Wesprimu, Raby, Lugoszu, oraz biskupi obrządków w W. Waradynie.

Sądy przysięgłych, które świeżo miały kilka procesów drukowych do rozstrzygnięcia, wydały takie wyroki, iż nie można z nich powziąść przekonania, aby przysięgli powodowali się czy to przeciw kuryi rzymskiéj czy przeciw królowi i rządowi włoskiemu miłością albo niechęcią; powodują się one atoli jedną zasadą — a jest nią nieuznawanie powagi zarówno świeckich jak duchownych. Poważna krytyka, jaką się napotyka w katolickim dzienniku *Voce della verità*, ściągnęła na ten dziennik wyrok skazujący; gdy natomiast *Diavolo* i *Frusta*, wprost sobie przeciwnych zasad, wyszły z procesów cało, chociaż pierwszy z tych dzienników nie szczędził ani króla, ani papieża, a drugi tylko z samym dworem królewskim obszedł się niełaskawie.

Z dekanatu św. Trójcy.

Dnia 31 lipca b. r. zasnął w Panu po ciężkich cierpieniach, najstarszy w dekanacie kapłan śp. ks. Karól Trojanowicz, proboszcz w Niechanowie, dziekan emeryt dekanatu powidzkiego.

Zmarły urodził się we wsi Gozdowie pod Wrześnią 3 listopada 1798 r z ojca Józefa i matki Agnieszki z Rogalińskich. Wykształcenie odebrał w seminaryum puerorum poznańskim, z którego przeszedł do seminaryum duchownego w Archidyecezyi gnieźnieńskiéj teoretycznego i praktycznego razem w r. 1818 w miesiącu sierpniu. Odznaczającego się pilnością i pobożnością przyjęto do stanu duchownego przez tonzurę i cztery mniejsze święcenia. W styczniu r. 1821 odebrawszy subdyjakonat, w tymże miesiącu (6 stycznia), następnego roku 1822 wyświęcony był na kapłana we wieku 24 lat skończonych.

Nazajutrz zaraz 7 stycznia odebrał wokacyją do kościoła parafialnego w Słupach, przy którym dopełniał obowiązków wikaryusza i rządzcy kościoła przez lat ośm. Póżniéj, przeniesion do kościoła parafialnego w Pobiedziskach, od r. 1829 do 31 przez całe dwa lata podobnież sprawiał urząd wikaryusza i rządzcy kościoła. Stąd przeniósł się do kościoła parafialnego w Brudzewie, nad którym mu Władza duchowna powierzyła komendę. W roku 1834 objął zarząd parafii i kościoła w Niechanowie, gdzie żywota świątobliwie dokonał. Zaufaniem Władzy zaszczycony miał sobie przez kilka lat powierzony urząd dziekana w dekanacie powidzkim, aż go sam złożył dla podeszłego wieku, znękany nadto cierpieniami chronicznéj choroby, która go téż ostatecznie o śmierć przyprawiła.

Żeby go w krótkich słowach scharakteryzować, dość powtórzyć słowa Zbawiciela o Nathanaëlu:

Hic est vere Israëlita, in quo non est dolus: teni prawy Izraelczyk, w którym nie masz zdrady.

Ubywa nam w nim jeden z tych starszych księży, których nie tylko dla siwego włosa chce się czcić i szanować, lecz i dla zasługi świętego pracowitego żywota. Mniéj w nich może bywało wykształcenia teoretycznego, lecz za to więcéj praktycznego, pasterskiego, że się tak wyrażę, taktu. Jak wogóle charakter narodowy odmiany doznaje pod wpływem szkół i wyobrażeń cudzoziemskich; tak niedziw, że i młodszym księżom coś ze sztywności niemieckiéj przeszkadza, żeby byli tak po staropolsku wylani dla ludu, czczącego w nich swych dobrodziejów.

Z tą naleciałością cudzoziemską trzeba się łamać, naśladując przykład takich śp. Karólów.

Nie słynął śp. Karól z nauki rozległéj, choć miał dokładne wiadomości teologiczne, których wartość doświadczeniem długiego pasterzowania się zdwoiła. Ale za to jakaż dobroć serca, jaka delikatność nie ta, co jest formą wyuczoną, nieraz wstrętną, gdy przesadna, lecz która pochodzi z prawéj miłości bliźniego, jest jéj przyrodzonym objawem i oraz nową podnietą.

A nie był to tak gołębiczy charakter z urodzenia; lecz wyrobiony ciągłą pracą nad sobą i spółdziałaniem z łaską bożą. Trzeba go było widzieć, starca z ubieloną głową, klękającego w pokorze u stóp kapłana, choćby i najmłodszego, któremu by mógł być dziadem; trzeba go było widzieć jednającego się w skrusze z Bogiem swoim tylekroć: a jawną stawała się tajemnica gołębiczéj prostoty duszy jego.

Dziś tak smutne już nastały czasy, że za zasługę narodową poczytywać się poczyna choć skąpstwo brudne, — byle w obce ręce nie oddać majątku, to już rzeczą wielką wpośród powszechnego upadku fortun. Otóż śp. ks. Trojanowicz był oszczędny, wedle niektórych mniemania aż do zbytku: lecz ta oszczędność prawdziwa jego stanowi zasługę w narodzie. Nie miał żadnéj wystawności

wkoło siebie, która tak mocno kole naszego chłopka, poduszczanego może jeszcze przez postronne wpływy obce, którą może niekiedy nawet szors ko wymówi swemu dobrodziejowi. Za to, oszczędzony pieniądz obracał śp. Karól na wykształcenie zdolnych młodzieńców, przez co narodowi przysporzył rzeczywistéj siły, bo inteligencyi, wywdzięczył się i kościołowi, doprowadzając tych, co mieli powołanie, do ołtarza bożego. W pracy pasterskiéj niezmordowany, mianowicie w konfessyonale, godzinami całymi trwał jeszcze wtedy, gdy nieznośne boleści chroniczněj choroby każdy kwadrans się odzywały.

Kierownik dusz był pewny; ten spokój i pogodę, jakie sam miał w duszy, umiał przelewać i w dusze swych penitentów, pojednanych z Bogiem. Kierownikiem był dusz doświadczonym, miał bogactwo znajomości duszy; bo we własną duszę patrzał, bo w asketycznym kierunku, wytrwał od czasów seminaryjskich wiernie do ostatnich chwil życia. W chorobie, w któréj miał pewne przeczucie śmierci tak, że się dziwił, iż go lekarz nie opuścił, kiedy on już wie, że umrze teraz; w któréj též rychło dał się opatrzyć Sakramentami św., zgadzał się cierpliwie na wolą bożą, choć wiele cierpiał. Konanie miał bardzo ciężkie, może ażeby czyściec przejść na ziemi, jak jeden z mówców trafnie się wyraził. Zasnął w końcu cichutko, błogosławiąc swą rodzinę i parafian.

Gdym się z nim żegnał, a wiedziałem już, że aż do zobaczenia się we wieczności i prosiłem go o modlitwę przed tronem Boga i o błogosławieństwo ostatnie, pobłogosławił mię i prosił: „módl się ty za mną przyjacielu mój, bo na sąd boży stanę niezadługo.“ A gdym mu odrzekł: „Senijorze, nie będzie ci ciężki, boś nam wszystkim był wzorem,“ odparł mi słowy św. Pawła: „nihil mihi conscius sum, sed non in hoc justificatus sum.“ W tych słowach godnie zamknął cały żywot swój.

Dnia 3go. sierpnia odbył się pogrzeb wspaniały przez udział 25 księży i wielkiéj liczby wiernych; w dniu poprzednim na exportacyi więcéj jeszcze było duchownych. Do grobu nieśli go kmiecie z parafii; z nimi społem syn patrona kościoła p. F. Żółtowskiego, i zięć p. Czorba, przez co piękny dali przykład jedności z ludem najistotniejszéj, bo religijnéj, i dowód czci dla pasterza swego dusz a jedności z duchowieństwem. *Anima Caroli requiescat in pace.*

Ruch świata katolickiego.

Vaterland podaje następujące uwagi o ruchu świata katolickiego. Objawia on się w dwóch kierunkach w religijnym i politycznym.

Nie będziem tu powtórnie wyliczali owych uroczystości, nabożeństw, procesyi, któremi od lat trzech, zwłaszcza z powodu sekundycyi Ojca św. i jubileuszu jego, cały świat katolicki dowiódł swojéj jedności w przywiązaniu do Stolicy Apostolskiéj i w swojéj czci ku namiestnikowi Chrystusa Pana. Równa także panuje jednomyślność biskupów, których listy pasterskie z tych czasów są pełne namaszczenia, jakiego przedtem całe lat dziesiątki nie były świadkami. I tysiące adresów kleru i wiernych, i ofiary ze serca podawane, wszystko to razem jest wymowną zapowiedzią i potężną poręką, że Ojciec św., mimo nieprzyjaciół knowań, mimo konfiskat i grabieży, jednak wielkie obowiązki głowy kościoła pełnić zdoła.

Liczne stowarzyszenia, a między temi głównie Bractwo św. Michała, założyły sobie jako zadanie, pomagać Ojcu św. w tém, czego wymaga położenie jego, zwłaszcza od czasu zaborczéj polityki rządów europejskich.

Świętopietrze jest dziś protestem powszechnym narodów, i ludów europejskich przeciw postępowaniu rządów, i niejako przebłaganiem Boga za zbrodnie popełniane przez liberalne rządy.

Ten ruch, i te objawy tyle potężnéj jedności świata katolickiego, mają inną jeszcze cechę, cechę, która znaczeniem swojem wszystko z obecnych czasów przewyższa, cechę opinii publicznéj. Liberalne rządy i przewódzcy rozmaitych stronnictw, skoro chodzi o przeprowadzenie czegokolwiek lub o dopięcie jakiegokolwiek celu, odwołują się ustawicznie na opinią publiczną. Ona jest tym płaszczykiem, za którym chowa się liberalizm, aby nie pokazać prawdziwéj postaci swojéj. Lecz ta ich opinia publiczna, przebiegłością lub przemocą wywołana lub wymuszona, przez dzienniki narzucana, ma tę samę wartość, co i środki, jakiemi utworzoną została i tę samą trwałość. Przy lada ofierze, lada katastrofie znika i przepada.

Gdyby odwoływanie się przewódzców liberalnych, i liberalnych rządów do opinii publicznéj nie było prostą obłudą i podstępnem kłamstwem — gdyby onym istotnie o prawdę chodziło, ruch świata katolickiego byłby dlań skazówką, gdzie szukać głosu opinii publicznéj, wolnéj a niezmiennéj i wytrwałéj. W protestach katolickich mają sąd wydany o nieprzyjaźnéj względem kościoła polityce. A choć tak zwane konstytucyjne rządy i tego powszechnego głosu nie będą uważały, — on jednak w końcu zwycięży. Bo ta rzetelna istotna opinia publiczna, ten głos świata katolickiego, znajdzie uznanie w coraz to szerszych kołach, i wskaże kierunek, którego przestrzegać będzie przyszłość. Liberalizm dziś już bliski końca. Albo zginie w socyalnéj rewolucyi, którą przygotował, albo będzie przez katolicyzm wreszcie zwyciężony. To przynajmniéj niezawodna, że na gruzach i zgliszczach, jakie zostawi rewolucya, świat katolicki odbuduje znowu porządek. W tém poręką elementa, z jakich świat ten złożony, motywa, jakiemi tchnie, porządek, jaki sam zachowuje, sprawa, któréj broni i kraje, w których żyje. Elementa tworzą najlepsi i najwierniejsi obywatele wszystkich państw, ze wszystkich stanów i warstw. Motywa są katolickie i konserwatywne, stojące przy prawie, i przy porządku socyalnym. Porządek jaki zachowuje, jest wzorowy i lojalny. Sprawa, któréj broni, jest najświętsza na ziemi, bo obrona religii, wiary, moralności przeciw spogańszczeniu i zdemoralizowaniu Europy. A wreszcie nie ma cywilizowanego narodu, ani kraju, gdzieby nie było ruchu świata katolickiego. Wszędzie łączą się i przystępują do onéj obrony Papiestwa, którego przyszłość rozstrzyga losy cywilizowanego świata.

Prasa — a zmitrężenie obecne.

(Ciąg dalszy).

Prasa i rząd.

Wpływ państwa na prasę jest w rzeczy samėj ogromny. Telegraf jest w ręku rządu, a telegrafem wszystkie ważniejsze wiadomości rozchodzą się do dzienników. Ztąd rząd panem jest pierwszego wrażenia. Nie istnieje w Europie żaden niezależny zakład telegraficzny. Wszystkie dotąd znane bióra telegraficzne służą albo wyłącznie swoim rządom, albo też kilku naraz. Mieć niezależne telegramy nie podobna, jedno, że za drogie, po drugie, że nad nimi wisi jeszcze jak miecz Demoklesa, stara cenzura, która je podobnie jak pocztę czyni państwowym monopolem. Dziwna rzecz, że przy takim stanie rzeczy, publiczność ma jeszcze wiarę i zaufanie do prasy. Nie dość, że wszystkie telegraficzne wiadomości przechodzą przez ręce rządu, ale nadto rządy mają jeszcze setkami swoich ludzi, którzy dla nich w prasie pracują. W budżecie wszystkich państw jest wyraźny napis: na cele prasowe. Te sumy ogromne topnieją w biórach redakcyi, aby je usposobić w duchu pożądanym dla rządu. Rzadko, które czasopisma polityczne są nie zależne, lubo szumnie ten tytuł wywieszają, bo gdzieżby i dzisiaj osieł Filipa złotem obładowany, nie potrafił się przedrzeć? A jeśli też jakie dzienniki okazują się nieprzystępne i głuche na brzęk talarów, to wtedy na to łatwy jest sposób: wzbrania im się wstępu do kraju, lub je się prześladuje cenzurą tak długo, aż albo zmiękną albo chorągiew zwiną. I tu przedajna prasa chce być wyrazem opinii publicznéj, i prawi codziennie o ofiarach i bezinteresowności, o poświęceniu się swém dla dobra publiczności.

Litograficzne korespondencye są także w ręku rządu, a z nich czerpią swój główny materyał wszystkie dzienniki zależne i nie zależne. Dodajmy do tego sporą liczbę rzeczywiście rządowych pism jako to: *Orędowniki, Dzienniki, monitory powiatowe i prowincionalne* etc., a będziemy mieli jakie takie wyobrażenie o wpływach rządowych na świat dziennikarski. Zdaje się teraz jakoby dobrze poinformowani korespondenci wykrywali na jaw rzeczy, któreby rząd chciał mieć w tajemnicy, a tymczasem do-

noszą oni tylko to, co ma właśnie być w myśl rządu rozpowszechnioném, do pokrycia tém lepszego innych spraw tajnych.

Uderzającą tylko jest rzeczą, że prasa mimo, że rządy nie zaprzeczone mają na nią wpływy, wszystka prawie tak nieprzyjaźnie jest usposonioną przeciw władzom. Nawet dzienniki grubo przez rządy opłacane nie mogą się powstrzymać, aby od czasu do czasu nie zadrzeć, nie drasnąć swych łaskawych opiekunów. Czegóż to nie wycierpią ministrowie gdyby nie prasa nie mieliby innych krzyżów prócz krzyżów orderowych. Czego im nie powiedzą deputowani z ław poselskich, tego dołożą w dwójnasób dzienniki, a biedny minister z deszczu wpada pod rynnę. Ileż to już ministerstw nie upadło przez prasę, a ileż tronów nie legło w gruzach rewolucyi wznieconéj krzykiem i piorunami prasy! Zkąd to zjawisko? Ma to swe źródło w naturze prasy. Prasa jest demokratyczną; cały punkt ciężkości przenosi ona do mas, ludowi oddaje nadzór nad rządami, a sama uważa się za najszczerszą przedstawicielkę tego ludu. Ztąd idzie jéj nieprzyjaźń ku wszelkiéj władzy. Acz głaskana przez rządy, zawsze ona żywi ku nim nieprzyjazne uczucie, trudno jéj zaprzeć się swéj natury i swego pierwiastka. Rządom z prasą dzieję się tak samo, jak wieśniakowi, który żywi, pielęgnuje, chowa króliki, a one mu jednak dom podkopują. A przytém jest w tém i fortel prasy. Dzienniki ciągle podżegają umysły przeciw rządowi, aby tenże zrozumiał, że bez prasy rządzić nie może, to znaczy, aby im się dobrze opłacał. P. Zang swego czasu gorąco upominał w swéj Pressie ministerium Schmerlinga, a my wiemy, co miało znaczyć to upominanie, a Pan Kuranda wyraźnie się z tém pochwalił: „czémby był Schmerling, gdyby nas nie było? Schmerling jest niczém — my go musimy podtrzymywać.“ Kiedy Martignak musiał ustąpić miejsca p. Villele, właściciel *Journal de Débats* ośmielił się wprost w oczy królowi Karólowi X. powiedzieć: „Ja to jestem, który to ministerium stworzyłem. Żeby się tylko dobrze względem mnie brano, inaczéj wnet go się pozbędę, jakżem się tamtego pozbył.“ Tak haniebnie trzęsie prasa władzą. Rządy powinny wreszcie przyjść do tego przekonania, że z taką prasą rządzić nie podobna, i zamiast jéj pochlebiać, winny ją ująć w karby, jak się każdego bierze w karby, który burdy wznieca na ulicy. I że to nie byłoby zbyt trudném, mimo téj potęgi, jakiéj sobie prasa dodaje, dowiodły już pewne próby w historyi. Napoleon wnet przejrzał, że Francyą rządzić nie podobna przy rozkiełznanéj prasie. Dla tego zaprowadził tak zwaną „Direction de l'esprit public, obostrzył cenzurę, ujął obroku, a wczorajsze lwy i tygrysy, stały się od razu łagodne jak baranki.

Jest téż wreszcie już i nieznośném do najwyższego stopnia, słuchać i czytać w dziennikach te wieczne rady i nauki prawione rządom, jak się mają sprawować i jaką politykę prowadzić. *Non omnes possumus omnia.* Kiedy Alexander W. wszedł do pracowni Apellesa i tam począł się rozwodzić o sztuce malarskéj, rzekł mu mistrz z cicha: „na bogi, milcz, bo cię moje chłopcy, co mi trą farby, wyśmieją.“ Zkąd prasa przychodzi do tego, aby sobie przyznawać dar dotąd przez największych nawet ludzi nie osiągnięty, dar sądzenia o wszystkiém nieomylnie, pouczania wszystkich nieomylnie? I któż to w prasie wydaje te nieomylne wyroki? Zapewne sami geniusze, sami najwytrawniejsi politycy, ludzie z olbrzymiemi wiadomościami i z takimże doświadczeniem, acz ze strony i takich ludzi nie do darowania byłoby chełpliwością i zarozumiałością, wiedzę wszech rzeczy sobie przypisywać. Gdzież tam! My przecież już znamy ten rodzaj ludzi. Niedouczony jaki student, postępowy jaki bakałarz z prowincyi, wygwizdany aktor, lub inna jaka niedowarzona głowa pisze piorunujące te artykuły, i snuje te olbrzymie plany, nad którémi zdumiewa się świat cały. I tacy to ludzie swém piórem, jak Aleksander mieczem, rozcinają węzeł gordyjski, pouczają rządy, dyplomatów, papieża, trybunały, jak mają sądzić, rządzić, kierować nawą państwa.

Przy tém wszystkiem jedno jest jeszcze złe. Te potęgi gazeciarskie pokrywa, jak dziurawy płaszcz nagość cynika, haniebny zwyczaj, który się wkradł do dzienników — anonim. Korespondent C. albo G. może za tą spuszczoną przyłbicą wojować z całym światem, strofować mocarzy, przyganiać najdzielniejszym mężom stanu. Któż go dosięgnie i któż się kiedy dowie, z jakim rycerzem kopie kruszy? To nikczemnie nie podpisywać się pod swój płód i chować się za płot jak ulicznik, aby ztamtąd bezpiecznie módz rzucać kamieniem na przechodniów.

To téż bardzo rozsądném było to prawo, które izba francuska 1850 ustanowiła, aby każdy korespondent pod swe artykuły kładł swe nazwisko. Nie ma się rozumieć, jakoby anonim nie miał swych dobrych stron, boć zawsze dobrze jest, że publiczność nauczy się rozróżniać rzecz od osoby. Potém niejeden artykuł piękny przeszedłby niepostrzeżenie w świecie, gdyby wiedziano, że on z pod pióra jakiego deus minorum gentium wypłynął. Ma téż swoje powaby maskowanie się tak na balu, jak w prasie. Ale z drugiéj strony podpisywanie artykułów, ma swoje korzyści. Autor niepodpisany nie ma nic więcéj za swą pracę, prócz pare łotów śrebra. Pozostaje światu nieznanym, a gazeta, dla któréj pisze, otacza się blaskiem jego talentu i odbiera hołdy, które jéj się nie należą. Podpisawszy się zaś, choćby i nie był dobrze wynagrodzonym, ratuje przynajmniéj dla siebie moralną swą słuszność.

Anonim to jedynie umożebnia owe niecne manewra redakcyi, która swe zagraniczne korespondencye we własném biórze każe fabrykować. Podpisywanie artykułów nie usunęłoby wprawdzie całkowicie wszystkich kłamstw i fałszów z łamów dziennikarskich, bo się znajdą ludzie, co i pod proklamacyą ze samego piekła imię swe położą, aleby przynajmniéj je umniejszyło, a w każdym razie uczyniło nieszkodliwemi. Gdyby wiedziano, z czyjego pióra wypłynęły te kłamstwa i różne brednie, umianoby je oszacować. Niektóre twarze mogą się tylko wychylić nieco na świat, a wnet ludzie od nich z odrazą odwrócą swe oczy. Anonim pokrywa wszystko jednym płaszczem: głupotę i talent uczciwego i hultaja. Pisarz, który podpisuje swój artykuł, musi także pilnie pracować. Dla tego téż francuskie artykuły odznaczają się takim wygładzonym stylem i poprawnym językiem, bo tam każdy za swoje odpowiada. Pod anonimem zaś można wysłać w świat samą łataninę z cudzych frazesów, najgrubsze nawet błędy: to wszystko ukradkiem wmięsza się w masę jak wytarty szeląg między dobrą monetę, i odpłynie razem het daleko.

Anonim odbiera poczucie wstydu i czci własnéj, owe dwa potężne bodźce, zdolne są człowieka pobudzić, do rzetelnéj pracy i wzniosłych czynów, bo któż wreście sromać się będzie poświęcać swe siły, talent, pióro ohydnym nieraz sprawom, wiedząc, że za to nie bierze na się otwartéj odpowiedzialności? I na to państwo nic nie mówi. Każdy rzemieślnik, terminujący lub rozpoczynający zawód na swoją rękę, musi wprzódy wykazać papierami, kim jest, czy ma prawo do tego. O to wolno go zapytać pierwszemu lepszemu policyantowi. Korespodentowi zaś wolno skryć się za anonim, udawać polityka, dyplomatę, kunsztmistrza, wolno mu naśladować głos słowika i czapli, na wszystkich drogach się włóczyć, po wszystkich za ułkach zbierać swój materyał, przywłaszczać sobie cudzą pracę, z wszystkich praw szydzić — policya tego nie widzi. Dziwne zjawisko, rządy mają wpływy na prasę, i nie mają żadnych.

(C. d. n.)

Dziennik poznański wobec Kościoła.

I.

Z powodu ostatnich objawów i postanowień rządu pruskiego w kwestyi stosunku państwa do Kościoła katolickiego, *Dziennik* z 2go sierpnia określa we wstępnym artykule swoje stanowisko tak względem rządu jak względem tegoż Kościoła. Stawia on najprzód jako kardynalny pewnik, że „cała działalność nasza winna być zwróconą wyłącznie na obronę naszéj narodowości,“ że „dążność polityczna powinna być naszym głównym i *jedynym* celem,“ że wreście „narodowość nasza, czyli organizm nasz państwowy, jest najwyższém naszém prawem, gdy on jeden wszystkim naszym potrzebom, pod każdym względem i w każdym kierunku zadość uczynić może.“ Ztąd zaś raz jeszcze wyprowadza ulubiony przez siebie wniosek, że obrona zagrożonych praw Kościoła, jaką starały się u nas sformułować cztery punkta przez duchowieństwo postawione, a podjęły adresy do króla i do sejmu, była całkiem niepotrzebną, a wielce szkodliwą, i że nie o nią właściwie chodziło stronnictwu katolickiemu, ale

o ogarnięcie pod jéj pozorem „arbitralnego kierownictwa sprawami świeckiemi, o prowadzenie polityki na własną rękę, oraz o poddanie całkowite sfery cywilnéj sferze religijnéj.“

Dziennik przeto zaleca zupełną obojętność, zupełną bierność w sprawach religijnych. Niech prawa Kościoła i położenie Stolicy Apostolskiéj będą jak najsrożéj zagrożonemi, to bynajmniéj obchodzić nas nie powinno. Klęska Kościoła i Papieztwa nie może przynieść uszczerbku narodowości naszéj, ani naszemu organizmowi państwowemu, gdyż on jeden wszystkim naszym potrzebom pod każdym względem i w każdym kierunku zadość uczynić może. Byle nam dozwolono zwać się Polakami i mówić po polsku, wszystko nam jedno czy naród zostanie schizmatyckim, protestanckim, mahometańskim, a nawet ogołoconym ze wszelkiéj religii. Już bezbożnie mówiono: L'état est athée: — *Dziennik* zdaje się mniemać, że narodowość może i powinna być *athée*. Według niego potomność pytać nie będzie, czy naród Oleśnickich, Hozyuszów, Skargów, Sobieskich, w obec ucisku Stolicy Apostolskiéj i prześladowanéj zewsząd religii katolickiéj, objawił przynajmniéj swe oburzenie i swoją boleść, czy się śmiało przyznawał do wiary swych przodków, czy użył wszelkich pozostałych mu jeszcze środków, by przyjść w pomoc Ojcu wszystkich wiernych, — ale czy się poddawał chętnie przewrotnym prądom wieku, czy stał na wysokości spiskowców włoskich i sekt wrogich wszelkiéj religii, czy się przyczynił do uświęcenia idei wszechwładnego państwa, to jest samolubnego i samowładnego interesu państwowego wbrew prawu i moralności. Cokolwiek dzieje się na świecie, czy katolicyzm gdzie cierpi czy się wznosi, czy Rzym i Papież w niebezpieczeństwie, niech osobliwie katolicy polscy siedzą cicho, kontentują się krzyżykiem przy drodze, zaściankowém „życiem naszego katolickiego społeczeństwa i na tém dosyć“ (ipsissima verba *Dziennika*), niech, broń Boże, nie dają znaku współczucia i współinteresu katolikom innych krajów, nie wyrażają z niemi tych samych obaw i potrzeb, bo to kosmopolityzm i „próby polityki zewnętrznéj na własną rękę,“ i tak niech „sobie wymierają powoli na banicyi ze świata ruchu i postępu,“ jako to nasz mistrz, p. Kraszewski, obwieścił.

Nie dziw więc, że przy takich życzeniach i wyrokach *Dziennik* każdy ruch, każdą oznakę życia w świecie katolickim uważa jako zdrożność, zamach na narodowość, na postęp, na przyszłość ludzkości. Cóż dopiero, jeśli obawy i przekonania katolickie, aby przyjść do głosu i poruszyć sfery rządzące, obiorą jedyną drogę, jaką im stosunki polityczne i urządzenia konstytucyjne pozastawiły? Napróżno będą katolicy, występujący w sprawie kościoła, zapewniali, że wkraczać we właściwą politykę nie myślą, napróżno będą przedstawiali, że nie zabraknie czasu wstrzymać duchowieństwo za pierwszym krokiem, gdyby jako stan pokusiło się o jakąkolwiek władzę w sferze czysto politycznéj, na próżno zaklinają się, że im sprawa własna jest również drogą, że pragną gorliwie w niéj współpracować, kierunek jéj zostawiając świeckim politykom, i że obrona praw Kościoła jest najpotężniejszą dźwignią praw każdego narodu: — wszystko to jest ułudą o podstępem, gdyż im chodzi tylko „o arbitralne kierownictwo sprawami świeckiemi, o prowadzenie polityki na własną rękę, i próby polityki zewnętrznéj, o całkowite poddanie sfery cywiltéj sferze religijnéj,“ zgoła o rządy teokratyczne, których celem i skutkiem zatrata narodowości, przywrócenie absolutyzmu i ciemnoty.

Taka a nie inna była i jest myśl wszystkich w tym przedmiocie artykułów *Dziennika*. Obecnie raz jeszcze i najdobitniéj nam ją wypowiedział. Wypowiedział ją nie tylko nam, lecz i rządowi. Mówi mu najwyraźniéj: Róbcie sobie co chcecie z Kościołem, to nie obchodzi społeczności naszéj, nasza cała działalność zwróconą jest wyłącznie na obronę narodowości, jedynym naszym celem dążność polityczna, ona jedna wszystkim naszym potrzebom pod każdym względem i w każdym kierunku zadość uczynić może. Doskonały nowy argument dla Kanclerza! Jako bowiem powiedział ten posłom naszym, dopominającym się o prawa narodowości, że oni nie dla obrony politycznych praw naszych, lecz dla straży praw Kościoła wybranemi zostali, tak oto teraz, gdyby się ujęli za kościołem, gotów im rzec: Znam ja dobrze co się u was dzieje, jedynym waszym politycznym organem jest *Dziennik*, a ten wykazał, że kościół nie swoich praw broni, lecz chce orgarnąć całą politykę, owładnąć państwem i arbitralnie kierować sprawami świeckiemi.

I jakaż tu znowu ogromna różnica między postępowaniem *Dziennika* i jego koteryi, a naszém! Gdy z powodu oświadczenia duchowieństwa i adresów, *Dziennik* nam zarzucił, że przez to wypieramy się narodowości, myśmy pospieszyli z wynurzeniem jak najtroskliwszego poczucia narodowego. Ile tylko świeckich głosów katolickich dało się słyszeć, wszystkie powstały przeciw błędnemu mniemaniu pierwszego ministra co do myśli, która kierowała wyborem naszych posłów. Obecnie, gdy Kościół nasz jest zagrożonym, zdawałoby się, że *Dziennik* i jego zwolennicy powinniby pospieszyć z oświadczeniem, że społeczności naszéj również jest drogim Kościół jak narodowość. I pospiesza on, niepytany, nieproszony, ale z wręcz przeciwném zapewnieniem. Po téj różnicy niech nas naród sądzi.

Dziennik coś mówi o zgodzie, ale ta jeśli kiedy, to po tém ostatniém jego orzeczeniu jest niepodobną. Szczęście, że *Dziennik* coraz mniejsze stronnictwo reprezentuje. Pomimo więc rad jego i zaklęć, mimo nieprzychylnego obrotu, jaki wzięły w ostatnich czasach usposobienia rządowe względem stosunków kościelnych, nie przestaniemy dopełniać naszego świętego obowiązku w przemawianiu za prawami, wolnością*) i doczesném uposażeniem Stolicy Apostolskiéj, przemawiać adresami i wpływać w tym kierunku na wybory. *Dziennik* powiada, że to jest śmiesznem bo bezskutecznem, a jeden z młodych posłów długo w *Dzienniku* wykładał teoryą, że gwałtem niczego nie godzi się naprawiać. A co *Dziennik* mówi, kiedy pisma moskiewskie naigrawają się z bezskuteczności wszystkich naszych zabiegów i postanowień? Gdyby jeden Polak chciał szydzić z drugiego w téj mierze, cała publicystyka nasza musiałaby się ograniczyć do *Szczutka i Djabla, Kosy i Osy*. Zaś ciekawi bylibyśmy jak ów poseł zastósowałby swoją teoryą do Polski? *Dziennik* daléj utrzymuje, że nasze działania popychają do wojny, a ta jest niemożebną. Nie rozumie on protestacyi, choć cóż Polacy czynią innego od wieku? Kiedy obecność nie sprzyja, trzeba umieć sobie zawarunkować przyszłość. Katolicy umieją być cierpliwemi, a ten tylko, jak dobrze powiedziano, co umie czekać, zdolnym jest rzeczy wielkich.

II.

W téj saméj sprawie odbieramy od X. Dr. Wartenberga następujące pismo:

Co przynosi Dziennik poznański w artykule swym: „Stanowisko nasze wobec rządu i ultramontanów?“

Korespondent z nad Bałtyku, który się w *Dzienniku* wiele zatrudnia Ultramontanami, opowiedziawszy w Nr. 173 spór zasadniczy ministra oświecenia *Mühlera* z biskupem warmińskim *Dr. Krementzem*, z powodu *Dr. Wollmanna*, nauczyciela religii, który się nie poddał dekretom Soboru watykańskiego, wyraża nadzieję: że

„*droga* na którą wstąpił rząd, *zdjęła zasłonę* (sic) z oczu ultramontanów: że z powodu wszystkich swych *faux pas* serdeczny czują żal, chyba, (słuchajcie!) że pocieszają się tą myślą że jeden przynajmniéj osiągnęli cel iż po części udał im się zamach na solidarność narodową (!) Ale nie, myśli podobnych przypisywać nie będziemy (jaka łaska po tylu potwarzach!) Owszem miejmy nadzieję, że przyjmą dłoń bratnią, jaką

---

*) Co do rzekoméj dziś wolności Papieża, *Dziennik* zasłania się powagą *Journalu des Debats*. Zdradza to głęboką nieświadomość publicystyki francuzkiéj. *Journal des Debats* od roku 1859 stał się najgorliwszym zwolennikiem zaborów piemonckich, a zawsze był Wolteryańskim. Szydzi z nas także, że podajemy adresy za papieżem do mistrza masonów. Nie wiemy czy teraźniejszy król pruski jest takowym mistrzem. Po 1815 monarchowie chcąc zniweczyć działania szeroko rozgałęzionéj sekty, kazali się wybierać mistrzami. Tymczasem mistrzowie żadnego wpływu nie mieli. Działaniem Masonów kierowała władza tajemna. Bądź co bądź, dzisiejszy król wbrew przekonaniom i dążnościom Masonów, wierzy jak najmocniéj w religią pozytywną, uznaje prawa wszelkich kościołów, i zawsze był przychylnym katolicyzmowi.

odać im wahać się nie będziemy; spodziewając się że pójdą znowu ręka w rękę z nami (!) w obronie świętéj spuścizny ojców naszych, w obronie naszéj narodowości.“ To téż spodziewamy się, że owe wskazówki, które Arcypasterz zapowiada na przyszłość w cyrkularzu potępiającym agitacyą ultramontańską (!), wypadną w duchu agitacyom tym przeciwnym, w duchu zgody, pokoju i solidarności (jakież błogie nadzieje)!

Dziennik w Nr. 174 myśl swego korespodenta podejmuje, rzekomo na wyzwanie korespondenta z *Poznania* do *Czasu*, i dyktuje Ultramontanom warunki zgody.

Posłuchajmy.

„Niech Ultramontanie porzucą prowadzenie polityki na własną rękę, niech w kwestyach politycznych i społecznych poddadzą się ogólnéj woli naszego społeczeństwa, niech przez wywołanie niepotrzebnych kwestyi zaprzestaną siać rozdwojenie (!) i wejdą na pole prac narodowych, a harmonia tyle pożądana w stosunkach naszych, przywróconą zostanie.“

Warunki dyktować umie *Dziennik*, trzeba mu to przyznać: zdajcie się na łaskę i niełaskę, woła z taką pewnością siebie, jakby w jego redaktorach Polska stu Bismarków i Moltkich miała.

Wielką łaskę *Dziennik* ogłasza i podaje do wiadomości Ultramontanów:

„Wierni zasadom naszym pozostając, [My, Dziennik, wszelako,] chętnie wszystkim, którzy wspólnie z nami narodowcami chcą pracować, rękę do zgody podajemy, a jak jéj nigdy nie odrzucaliśmy, tak i dziś jéj nie odrzucamy, choćby nas jeszcze raz *Posener Zeitung* o przerzucenie się na stronę ultramontanów pomówiła.“

Jaka ofiarność *Dziennika* dla świętéj zgody!

„Złudne, pisze *Dziennik*, nadzieje tych, co liczyli na poparcie rządu w kwestyi *Papieża*.“

Kto kiedy liczył? pytamy; czyż z góry nie oświadczono, że się należy dopełnić obowiązku, choć bez nadziei skutków?!

„Ułuda ta, prawi *Dz.*, poprowadziła ultramontanów naszych do fałszywych i sprzecznych z polityką narodową kroków i wystąpień, przy których i dziś mimo oczywistości (?!) faktów, uparcie stoją ...„ultramontanie działaniami swymi kompromitują politykę narodową:..“ „niech więc Ultramontanie porzucą prowadzenie polityki na własną rękę.“

Zapomniał *Dziennik* o naczelnym prawie logiki, że wniosków nie wolno wyciągać z przesłanek nieudowodnionych. A jakież to one fałszywe kroki? w czym sprzeczne z polityką narodową? gdzie ta oczywistość błędów upornych? czym kompromitujemy politykę narodową? Na to wszystko winien nam *Dziennik* nie frazesy, lecz dowody ścisłe, logiczne; boć i w polityce, wedle słów kanclerza Beusta, „logika jest bussolą“; a jeżeli w polityce, to zapewne i w dzienniku politycznym.

„Jeśli walczymy z nimi (z Ultramontanami) prawi *Dz.*, to dla tego, że grzesznie, pod powagą władzy duchownéj przywłaszczają sobie arbitralnie kierownictwo *sprawami świeckiemi* wówczas, gdy do tego się właściwymi czynnikami posłowie nasi, wybrańcy całego społeczeństwa:“ — „niech więc ultramontanie w kwestyach politycznych i społecznych poddadzą się ogólnéj woli naszego społeczeństwa.“

Odmawiamy *Dziennikowi* kryteryum sądzenia o tym, co „grzeszne“: on, co „ukochał Polskę nad wszelkie zasady“, a przez to samo nie ma zasad moralnych, jakże może sądzić, czy w czym jest grzech, to jest odstąpienie zasady bożéj? Ultramontanie przeto, że są Ultramontanami, t. j. że chcą panowania zasad religii i w polityce, nie tak jak liberalni, którzy ją ograniczają do zakrystyi, a w życiu publicznym wyznają ateizm wedle znanéj zasady: *la loi est athée*, muszą żądać, żeby i *sprawy świeckie* naszego narodu nie wypierały się namaszczenia bożego ducha; żeby *kierownictwo* jakieś wyłączne sobie przywłaszczali, zechce *Dziennik* jeszcze wpiérw dowieść.

Żeby „posłowie nasi, wybrańcy całego społeczeństwa“ do tego (kierownictwa) byli właściwymi czynnikami“ — i to jedynie: zechce *Dziennik* udowodnić rozumowo: ciekawi jesteśmy téj lekcyi prawa politycznego.

My natomiast trzymamy się doktryny posła Krzyżanowskiego, że posłowie są tylko mandataryuszami, którzy złożyć powinni mandat, jak tylko staną w niezgodzie z wyborcami, mandantami swymi. Choćby poselskie koło polskie było nawet, jak nie jest, władzą, to jeszcze nie byłoby nią w panteistycznym pojęciu Heglowskim, że „państwo Bogiem jest ludu“, i prawo jego absolutne, wobec którego każdy i wszystko jest bez prawa.

Ultramontanie jakiéjżeż to téż „ogólnéj woli społeczeństwa naszego“ poddać się mają? Czy téj, którą podyktuje *Dziennik*? Opinia, gdyby istotnie reprezentowała życzenia społeczeństwa całego, z pewnością *Dziennik* nie powoływałby się na nią tak śmiało. Opinia cała to „wola ogólna“, dziś to wola kilku, kilkunastu, co stworzywszy sobie tubę z arkuszy bibuły politycznéj, trąbią swą fałszywą nutę, aż wszystkim swój ton narzucą. Nikogo do głosu nawet nie przypuszczą, ich hasło: „kto na piszczałkę dał, ten na niéj będzie grał“; nie sromają się, oni przeciwnicy kary śmierci, upominać się wzajem do ubijania przeciwników swych milczeniem, do skazywania ich na „Todschweigen“, co wyrazić tylko można po niemiecku, bo wyraz wraz z rzeczą nie był u nas znany, dopóki sławny *Omega* nie nauczył się tak pięknych rzeczy w *Dreznie* i nie nauczył drugich przykładem i wyraźną zachętą; nie sromają się w téjże chwili zachęcać się wzajem do moralnego zabójstwa, a przeciwnika zabijanego zwać „opryszkiem.“

I takiéj „woli ogólnéj“ się poddać? Nigdy.

„W kwestyach politycznych i społecznych niech się Ultramontanie poddadzą ogólnéj woli naszego społeczeństwa.“ Za taką kwestyą polityczną, reprezentant „woli ogólnéj“ *Dziennik* uważać chce i kwestyą papiezką. Więc kiedy Ojciec chrześciaństwa woła wobec nieba i ziemi, że się krzywda dzieje Kościołowi, bo Głowie jego, że się dzieje gwałt sumieniom, bo im się wydziera rękojmia niezależności Apostoła wiary, my mamy pójść po wskazówkę do *Dziennika*, żeby usłyszeć odeń: cyt dzieci! cóż wam tam, że się wasz Ojciec krwawi, że Oblubienica Chrystusowa w okowach; krwawi się, to i będzie zdrowszy, „trwalszy“; w okowach, to jéj będzie pięknie w naramiennikach żelaznych; woła sumienie wasze, uspokójcie je, że to sprawa polityczna, — a co sumieniu do polityki?

Taką kwestvą społeczną są *cywilne małżeństwa*, jest związek *szkoły z Kościołem*.

Czy i w tych kwestyach zdać się nam Ultramontanom wypada na „wolą ogólną“? Kwestyi tak spółecznych, zawartych w punktach kościańskich, nie przyjęto do programu narodowego już raz dla przyczyn formalnych: czyż mamy nie żądać jasnych, pewnych zobowiązań w téj mierze? Czyż mamy się zdać na łaskę lub niełaskę „woli ogólnéj“ w *Dzienniku*, która podczas burzy konkordatowéj w Austryi już się oświadczała przez usta korespondenta lwowskiego (3) za małżeństwami chrześcian z żydówkami? która w sprawie szkół symultannych oświadcza się przeciw tym instytucyom jedynie z powodu uszczerbku języka ojczystego, lecz bynajmniéj nie dla uszczerbku wiary? Odeprze nam *Dziennik*: to rzecz władzy duchownéj, nie moja; moja rzecz upominać się o narodowość. Niezawodnie, odpowiem, przedewszystkim rzeczą władzy obstawać za wiarą; ale nie jedyną, lecz i rodziców wszystkich. A jeżeli tych chce reprezentować *Dziennik*, to ma obowiązek mówić tak dobrze za wiarą, jak za językiem. *Dziennik* nie jako reprezentant ludności, jest sobie arkuszem bibuły i kółkiem ludzi może bardzo gienialnych, ale prywatnych, nie żadną władzą narodową, którąby się mogła z władzą duchowną dzielić w zakresie potrzeb duchownych narodu.

„Jeśli prowadzimy walkę z ultramontanami, prawi *Dziennik*, to dla tego, iż ci działaniami swemi kompromitują politykę narodową, że sieją rozdwojenie w społeczeństwie naszem wówczas, gdy zagrożone jego interesa narodowe wymagają jak największéj solidarności“ — „niech więc przez wywoływanie niepotrzebnych kwestyi zaprzestaną siać rozdwojenie i wejdą na pole prac narodowych.“

Dziennik przez usta swego korespondenta z *Ustronia* już Ultramontanom powiedział, że nie mogą wcale być Polakami, z natury swéj będąc kosmopolitami; *Tydzień*, ten tak szczytny wzór dla *Dziennika*, nazwał ich kosmopolityzm, zarówno jak Komunistów, wrogim narodowości: cóż tedy dziwnego, że „kompromitują politykę narodową“; przecz się biorą do rzeczy nie swojéj? czemuż *Dziennikowi* nie pozostawią trudu, żeby i za nich myślał i działał politycznie?

Ultramontanie kosmopolitami, i socyaliści komunistami, prawda. Ale maleńka tu jednak różnica. Ultramontanie przyznają się do kosmopolityzmu z Boga, tj. przyznają się do ludzkości całéj odkupionéj krwią Chrystusową, ale w którym to wielkim kole społecznym miejsce znajdują i mniejsze koła, jak rodzina

i gmina, i naród i państwo z władzą „z postanowienia bożego,“ gdyż Bóg natury dziełem odkupienia nie zniósł, lecz ją uzacnia.

Socyaliści przyznają się do komunizmu przeciw Bogu, którego zowią *złem,* do komunizmu z szatana, na którego cześć hymny pieją, t. j. przyznają się do ludzkości, będącéj albo sama Bogiem, albo bydlęciem, a na wszelki sposób nie potrzebującéj odkupienia, a w któréj koła społeczne dla tego właśnie, że z prawa bożego, choć tylko z wiecznego, przyrodzonego wyszły, jak rodzina, gmina, naród, państwo zbożne, zniesione i zastąpione komuną, falansteryą i despotyzm bozki państwa, chłonącego prawa wszystkich, z władzą „ogólnéj woli.“

My tedy Ultramontanie, nie myśląc bynajmniéj wypierać się, żeśmy kosmopolitami, tj. członkami ludzkości odkupionéj, którą jest Kościół, nie pójdziem jednak do *Dziennikowców* po pozwolenie, aby być Polakami. I pozwolimy sobie poprosić *Dziennik,* czym to my, polscy Ultramontanie, skompromitowaliśmy politykę narodową? Przykro to ludziom odbierać ich illuzye; ależ trudna sprawa, trzeba stanowczo *Dziennikowi* powiedzieć, że jego twierdzenia nie są pewnikami, axiomatami, dowodu niepotrzebującemi, chociaż to on je wypowiedział. Lubo jesteśmy wyznawcami nieomylności Kościoła i Papieża, która jest sprawą bożą *per assistentiam Dei,* to niepodobna nam nieomylność taką przyznać *Dziennikowi,* już dla tego samego, że on z pewnością wyparł się assystencyi bożéj jakiéj bądź w robotach swych, już dla tego, że one polityczne. Jak od wszystkich tedy śmiertelników, żądamy i od *Dziennika* dowodów, nie frazesów na jego twierdzenia. Inaczéj quod gratis asseritur, gratis negatur, a co się mówi złego przeciw bliźniemu bez dowodu, oszczerstwem jest.

„Sieją rozdwojenie w społeczeństwie naszém Ultramontanie,“ oburza się *Dziennik.* „Niech przez wywoływanie niepotrzebnych kwestyi zaprzestaną siać rozdwojenie,“ upomina.

Cóż to za „kwestye niepotrzebne?“ To „punkta kościańskie i adresy parkowskie.“

Posłuchajmy:

„Dalecy od skrajnych opinii, wyznając szczérze liberalne zasady, zgodnie z niemi, lubo w kwestyi wyznań stoimy na stanowisku wolności sumienia, wszakże nie zapoznajemy uczuć religijnych większości narodu naszego, które są katolickiemi.

Uczucia te tak są jawne, iż nie wymagają, jak tego żąda korespondent poznański *Czasu,* żadnéj affirmacyi, i nie potrzebuje się manifestować ani téż dokumentować bądźto w czterech punktach kościańskich, bądź w parkowskich adresach. Afirmują się one życiem katolickiego naszego społeczeństwa, i to jest dostateczném.“

Cokolwiek jest, jest przez to, że się zatwierdza w swym bycie, objawia na zewnątrz, że się afirmuje, manifestuje, dokumentuje. Kto nie chce afirmacyi jakiéj rzeczy, ten nie chce jéj bytu, jéj istnienia. *Dziennik* pozwala na afirmacyą „uczuć katolickich większości narodu w życiu katolickiego naszego społeczeństwa“ — widocznie tylko prywatnym, domowym, zaściankowym; nie pozwala się im dokumentować w aktach życia publicznego, jak np. „w czterech punktach kościańskich i w adresach parkowskich:“ więc cierpi byt religii w życiu prywatnym a nieznośny mu on w życiu publicznym.

I my „w kwestyi wyznań stoimy na stanowisku wolności sumienia,“ którą Kościół dopiero katolicki przez krew swych męczenników pozyskał światu: ale my w religii nie same nieokreślone „uczucia“ widząc, lecz prawdy boże nieodmienne, musim dla nich żądać zakresu nietylko prywatnego, lecz i publicznego życia, bo Bóg jest Panem tak ludzi, jak narodów, i prawda jego jest tak prawdą dla ludzi pojedyńczych, jak zbiorowych. *Dziennik* tedy, mimo że się zarzeka na swój szczery liberalizm i stanowisko wolności sumienia, iż nie „*zapoznaje* uczuć katolickich większości narodu,“ nie uznaje wszelako prawdy bożéj religijnéj w życiu publicznym. Nieodrodny on w tym brat wszystkich liberałów, którzyby chcieli religią ograniczyć do zakrystyi, którym afirmacya uczuć katolickich w życiu prywatnym aż nazbyt, aż do sprzykrzenia „jest dostateczna.“

Punkta kościańskie i adresy parkowskie to „kwestye niepotrzebne.“ Czemu? Bo jak nam to *Dziennik* niegdyś tłomaczył przez usta swych korespondentów, jeśli się nie mylę i berlińskiego, każdy poseł ze względów narodowych i tak już jest za nimi, z wyjątkiem doczesnéj władzy, ale która téż przecież „nie jest dogmatem.“

Nie tak łacno się zaspokoi, kto wie, jak to *Dziennik* drukował już apologie za cywilnymi małżeństwami, nawet z żydówkami, i jak symultanne szkoły tylko mu niebezpieczne, że zagrażają wynarodowieniu, i z jakim to uznaniem mówił tyle razy o zakonach „kontemplacyjnych,“ jak szlachetnie potępił Karmelitanki, a to wszystko dla tego, żeby „nie zapoznawać uczuć katolickich większości narodu.“

Na frazes, że doczesna władza nie jest dogmatem, najlepszą daje odpowiedź samże *Dziennik* w nr. 168 rb.:

„Rosya będzie się tłomaczyła, że organy nie należą do dogmatów wiary, jak to zwykła czynić przy wszelkiéj nowéj napaści na katolicyzm.

Rosyi organy nie są dogmatem: *Dziennikowi* doczesna władza papiezka nie jest dogmatem.

„Niech zaprzestaną siać rozdwojenie!“ Łatwo to powiedzieć mogą i Ultramontanie, z równym prawem, co i *Dziennik.*

Najpierw trzebaby się porozumieć, czy jedność katolickiego narodu jest w liberalnéj doktrynie, żeby Boga i prawdy jego, religią wyeliminować, wypchnąć z publicznych, społecznych stósunków, czy w ultramontańskich, że Bóg jest Panem ludzi i narodów, że prawda jego i prawo zasadą jest życia tak pojedyńczego, jak zbiorowego człowieka. Określiwszy naturę jedności katolickiego narodu, dopiero będziem mogli rozsądzić się, kto targa ją w narodzie, czy liberał *Dziennik,* czy Ultramontanie. Dopóki nie uczyni się wpiérw tego, wszelkie deklamacye przeciw „sianiu rozdwojenia“ są frazesami nieuczciwymi, retoryką niegodną.

„Manifestowanie ich (uczuć katolickich), prawi *Dziennik,* w aktach powyższych, (publicznych) nie przynoszące żadnego pożytku, co sami ultramontanie przyznają (?!), wyrządza jéno szkodę całemu narodowi, bo obok innych przyczyn, jakie (?) już nieraz szeroce wywiedliśmy, bezpotrzebnie mąci jeszcze jego polityczne pojęcia, prowadząc go do szukania pomocy tam, gdzie jéj szukać nie powinien i znaleść nie może; a jednocześnie odprowadza go odnajpilniejszéj i najgłówniejszéj pracy, tj. obrony narodowości, od jéj rozwoju i paraliżuje jego ogólną dążność polityczną, która być powinna głównym i jedynym celem naszym.“

Żeby Ultramontanie „żadnego pożytku“ nie widzieli w swych aktach publicznych, i to już przyznawali, to rzecz dziwna. Prosimy wskazać nam, kto, gdzie i kiedy to uczynił?

Znaczyło by to, że nie są to ludzie rozumni, boć każde rozumne stworzenie działa gwoli celowi jakiemu.

Przyznawali Ultramontanie, że politycznego skutku bezpośredniego tj. interwencyi adresy nie wywołają: ale nic nad to. *Dziennik,* który wszystko wnet spotęguje*), co na jego korzyść można jakkolwiek naciągnąć, widział w tym przyznanie, że „żadnego pożytku samiż Ultramontanie w nich nie widzą.

Ultramontanie widzieli dla siebie w tym podaniu adresów obowiązek sumienia, żeby przez nie upominać się o wolność sumienia, poręczoną nam katolikom przez niezależność monarszą Papieża, a dopełnienie obowiązku, czyż to już nie korzyść? że o innych przemilczę, bo już je wyliczałem *Dziennikowi* w nr. 30 *Tygodnika.*

Ależ, odpowie nam: „bezpotrzebnie mącicie narodu polityczne pojęcia, prowadząc go do szukania pomocy tam, gdzie jéj szukać nie powinien, i znaleść nie może.“

Że *per accidens* gdzieś pomocy znaleść nie można, to nie przyczyna, żeby jéj tam nie szukać, jeżeli tam jéj szukać można. Cała kwestya tedy czy się adresami parkowskiemi „mąci pojęcia narodu polityczne“, ogranicza się wyłącznie do pytania: czy pomocy dla Ojca świętego naród nasz tutaj „szukać nie powinien“ u rządu niemieckiego. My twierdzim, że można; *Dziennik* że „nie powinno“ szukać téj pomocy. Starano się do udowodnić; lecz dowody to wywrotne, wywody bezsilne.

Zarzucano nam, że władzy nieprawéj o nic prosić nie na-

---

*) Taką exageracyą i wyzyskaniem niepięknym słów bpa Kettelera jest zaręczenie *Dziennikowe,* że ten dostojnik w adresach parkowskich *brak godności* widział i wielokroć tego *dowodził* szeroce. To co biskup sam o sobie przyznaje w odpowiedzi przez katedralnego Dr. Reich mi danéj, niczym się nie różni od domysłu, jaki wypowiedziałem w *Tygodniku kat.*: że widział on bezskuteczność („Erfolglosikeit“) adresów, i że w potocznéj mowie z tym się kiedyś wyraził (und aus dieser Ueberzeugung vor dem einen oder anderen polnischen Reichstagsabgeordneten, welcher die Sache zur Rede brachte, kein Hehl machte.“) Otóż wszystko.

leży; że przez to znosi się protest posłów, że wreszcie choć posłowie pozostali na sejmie, to dla obronéj własnych interesów, nie dla podawania petycyi za Papieżem. Odpowiedziałem już na te argumenta bezsilne, że i sejm pruski i parlament niemiecki na mocy jednéj i téj saméj zasady są naszą władzą, że protest w słowie znieśli samiż posłowie czynem, faktem pozostania w parlamencie bez zastrzeżenia, że jeżeli tam są dla obrony naszych interesów, to najwyższym, najżywotniejszym z nich jest religijny, — a takim jest niechybnie sprawa niezależności Ojca sw.

Dopóki kto nie obali tych jasnych, widocznych wywodów, nie ma prawa na wiatr twierdzić swoje i zarzucać Ultramontanom, że mącą polityczne pojęcia narodu prowadząc go do szukania pomocy tam, gdzie jéj szukać nie powinien.

Dziennik podaje nową przyczynę do niepodawania adresów, że „manifestowanie w nich uczuć katolickich — odprowadza go od najpilniejszéj i najgłówniejszéj pracy t. j. od obrony narodowości i jéj rozwoju".

Żeby „obrona narodowości i jéj rozwoju była pracą najgłówniejszą", to może powiedzieć wyznawca komunizmu, który świat historyi chce zbudować naprzeciwko P. Bogu, może twierdzić wyznawca liberalizmu, który świat swój kreśli bez Boga, a co najwięcéj z Bogiem Deistów, jaki zostaje z monoteizmu żydowskiego po odrzuceniu obietnic messyjańskich, to może twierdzić wyznawca panteizmu politycznego, ubóstwiającego naród lub państwo,—Chrześcijanin, który nim jest w życiu prywatnym i w publicznym, nigdy!

Dla chrześcijanina nie naród lub państwo jest celem, w którym pojedynczy człowiek ginie jako narzędzie do celu, lecz pojedynczy człowiek, za którego Chrystus umarł, i którego ceną krwi swéj odkupionego woła do wiekuistéj Ojczyzny niebieskiéj, jest celem dla wszystkich kół społecznych, jak był dla Boga — człowieka. Nie pojedynczy tedy człowiek dla narodu, lecz naród i państwo dla człowieka. Prawdę tę dobrze przeczuwał autor „Ojcze nasz", że filozofią historyi zaczął, nie jak Hegel od ukształtowania się państw, lecz od Adama. Gdyby dla narodu był człowiek, nie naodwrót naród dla człowieka, to równym prawém byłby człowiek pojedynczy dla rodziny, i dla gminy, i dla klasy jakiéj społecznéj, kasty. A przecież tego nikt na prawdę twierdzić nie będzie.

Wszystkie koła społeczne są zakresem bytu, życia i działania człowieka, to prawda, ale nie są jego celem. Cel jest wyższy, po nad człowiekiem, jest Bóg. I to jest „najgłówniejsza i najsilniejsza praca", służyć Bogu, z Bogiem się połączyć, duszę swą na łonie jego ojcowskim zbawić. Środki zbawienia pozostawił Chrystus nie już, jak w Starym Zakonie, jednemu narodowi, lecz całéj ludzkości odkupionéj, t. j. Kościołowi. A że jak pojedynczy człowiek, tak i zbiorowy, jest organizmem, przeto ludzkość uorganizowana w narody jest za sprawą bożą. Natury swéj ludzkiéj nie zbyła ludzkość i wtedy gdy została odkupiona, więc i Kościół nie znosi narodowości, lecz je kształci na syny boże, i żywe w duchu bożym członki swoje. Tak kościół, czyli ludzkość odkupiona obejmuje w sobie narody i państwa, podobnie jak te obejmują w sobie gminy i rodziny. A stąd się podaje wniosek jasny, że jak kto pracuje pożytecznie dla całego narodu, pracuje i dla wszystkich kół w nim zawartych, dla gmin i rodzin: tak kto zastawia się za sprawą kościoła, broni tym samym i spraw najżywotniejszych narodowych, kiedyć narody chrześcijańskie członkami są ludzkości odkupionéj, jéj życiem żyją, niedomaganiem słabną i giną.

Jakżeż tedy może *Dziennik* ganić „manifestowanie uczuć katolickich w obronie kościoła" przeto, że rzekomo „odprowadza ono od obrony narodowości?"

Dopóki Polska nie zerwie zupełnie z przeszłością, nie przestanie być katolicką, a więc i żywym członkiem odkupionéj ludzkości, dopóty wszystko, co wzmaga siłę kościoła, potęguje i siłę narodową; co poniża kościoł, osłabia i siłę duchową narodu.

Wie o tym dobrze Rossya, która gniecie katolicyzm, żeby zdusić polskość.

Jakżeż, daléj, można zarzut czynić, że „manifestowanie uczuć katolickich odprowadza od pracy nad rozwojem narodowości?". Czy to ma być prawdą z wyrozumowania, czy z doświadczenia? Jeżeli *Dziennik* tak sobie to wyrozumował, to tym samym prawem nie mógłby np. uczuć rodzinnych, czy synowskich, czy rodzicielskich manifestować, żaden np. sołtys, burmistrz, boby ich to odprowadzało od pracy dla gminy, żaden urzędnik, żołnierz, boby ich to odprowadzało od pracy dla państwa! co za absurda.

Jeżeli zaś *Dziennik* tego doświadczył, że Ultramontanów „manifestowanie uczuć katolickich odprowadza od pracy narodowéj:" niechżeż nam wskaże fakta. Dopóki tego nie uczyni, lekkomyślnie rzuca oskarżenia. I my uznajem, że „działalność nasza wyłącznie zwrócona być powinna na sprawy wewnętrzne, nie zaś na próbę polityki zewnętrznéj." Daj Boże, żeby tak sądziło dziennikarstwo na długo.

W tym się atoli z *Dziennikiem* nie zgadzamy, jakoby sprawa swobody religii, wolności kościoła, niezależności Ojca św. nie była naszą „sprawą wewnętrzną." Dowodzić naszego zdania nie potrzebujem, boć się podaje każdemu jasno z tego, żeśmy narodem chrześciańskim, katolickim, że jesteśmy członkami kościoła, odkupionéj ludzkości.

Frazesy

„*o nieuprawnionych czynnikach*, które bezpotrzebnie (!), i ze szkodą kościoła (i tego sędzią *Dziennik!*) mięszają sferę religijną z sferą cywilną, świecką i usiłują tę ostatnią zanurzyć w pierwszéj i całkowicie jéj poddać"

nikogo z pewnością nie przekonają.

Nie masz u nas czynników uprownionych lub nieuprawnionych innych, jak tylko te, które i jak prawo oznacza. Chociaż liberały z wielkiéj liberalności już się z tym odzywały, żeby prawem państwa usunąć od wyborów duchowieństwo, wyjąć je z pod prawa: jeszcze to jednak prawem państwa nie jest. Każdy tedy uprawnion całym talentem od Boga mu danym, czy znaczenia stanowiska społecznego, czy rozumu służyć będzie dobréj sprawie. Ani się można dać odstraszyć, że coś „będzie ze szkodą Kościoła," jeżeli te głosy pochodzą z przeciwnego obozu, ani można dać sobie wmówić, że jestto mięszać sferę religijną z świecką, gdy się dla sprawy religijnéj żąda obrony świeckiego ramienia. Wszak to przeciw punktom kościańskim walcząc, dziwił się jeden z przeciwników jak można rzeczy takie religijne poruczać posłom na sejm świecki, który przecież nie jest soborem. Są rozumy i rozumy, łogika i logika.

Dziennik żąda od Ultramontanów, aby przestali być sobą, aby się zesamobójczyli, przechodząc pod jego znaki liberalne: żąda więc wiela.

Dziennik w zamian ze siebie gotów zrobić tę ofiarę, że ręki podanéj do zgody nie odrzuci i dziś, „choćby (słuchajcie ipsissima verba) choćby *nas* jeszcze raz *Posener Zeitung* o przerzucenie się na stronę ultramontanów pomówiła." Azaż nie wielka, największa ofiara? Ale czegoż się nie uczyni dla miłości Ojczyzny?

Anioł ciemności, który, wedle słów Pawła św. przemienia się nieraz w Anioła światłości, za taką cenę, jakiéj żąda *Dziennik* od Ultramontanów, zapewne chętnieby się wystawił na pomowisko jakiego djabliska, że ma „zakusy" stać się Aniołem białym.

Na takie warunki zgody, jakie *Dziennik* podaje, któż przystać może?

Idźmyż tedy daléj drogą, którą obowiązek nam nakazuje, zasady z wiary czerpane rozświecają. Mamy tę niepłonną nadzieję, że one nas obronią od tych pociągów, jakie okazywał już *Dziennik* do padnięcia w objęcia kata-schizmy Moskwy.

Dziennik ma przywileje niesłychane w dziennikarstwie innych narodów.

Dziennikowi uchodzi pisać (nr. 31), że broszura p. t. *List otwarty Słowianina do Cesarza Aleksandra II*, któréj „ideałem politycznym jest połączenie wszystkich Słowian *pod jednym i tym samym sztandarem*, i że Rosya musi się łączyć z Polską, aby módz z królestwa polskiego utworzyć sobie *podstawę swego wpływu na Europę*," „„niepotrzebnie tylko uprzedza *życzenia i fakta*;"" ale, że jest „„nowym symptomem możliwości przeobrażenia gotującego się w dziedzinie krwią i łzami zamglonych stósunków między Polską a Rosyą."" Mimo tego panslawizmu, *Dziennik* dzierży monopol patryotyzmu, jest wyrocznią polskości.

Ultramontanie, którzy, wedle jego korespondentów z Ustronia, nie mogą być wcale Polakami, jak na innych patryotycznych jego drogach, gdy tylko rozstajne są od dróg wiary, tak i na téj — odstępstwa od tradycyi narodowéj, i na téj zaprzepa-

szczenia całéj przyszłości katolickiéj, nie pójdą za nim nigdy! Oni z Krasińskim wołać będą:

Car życia trąd,
My życia prąd.

Moglibyśmy już skończyć, ale nam nasuwa się pytanie: jakież znaczenie określenia, jakie daje *Dziennik* co do stanowiska swego do rządu?

Pisze: „Nie jesteśmy zwolennikami opozycyi dla opozycyi. Jeśli jesteśmy w opozycyi z rządem, to dla tego. iż uprawnione nasze żądania nie są spełnione; a prowadzić ją dopóty będziemy, dopóki sprawiedliwość wymierzoną nam nie będzie.“

Gdyby tedy rząd przeprowadził równouprawnienie obu języków szczerze, albo gdyby dał nawet przewagę polskiemu w szkołach, w sądach, *Dziennik* przestałby opozycyi? Albo czyż do tych „uprawnionych żądań, w programie opozycyi *Dziennika* należy może i abdykacya rządu? To drugie nieprawdopodobne; bo wtedy wypadałoby napisać: „opozycya nasza nie może mieć końca,“ gdyż rząd nigdy żaden dobrowolnie nie abdykuje, a raczéj wypadało o swéj opozycyi nieprzejednanéj milczeć.

Zresztą w sojuszu z Moskwą téż nic więcéj by się nie utargowało, jak język....

Niechżeż *Dziennikowcy* głośno i wyraźnie wypowiedzą jeśli to myślą; a mogą się spodziewać, że tym jednym przyznaniem uzyskają narodowe szkoły a może i administracyą i sądy; bo cóż to wadzi, pyta *H. v. H.* nowoczesnemu państwu, że w nim jest odłam narodu mówiący innym językiem, kochający idylicznie swą przeszłość?

Dziennik który nie jest „zwolennikiem opozycyi dla opozycyi,“ w jakiéjżeż wtedy harmonii i zgodzie przecudnéj ze sferami rządowymi, byłby we walce — z Ultramontanami!

Książe Bismark w liście do hr. Frankenberga odmawia Ultramontanom, mianowicie frakcyi katolickiéj, patryotyzmu, pomawia o dążenia antyniemieckie; za nim wszystka prasa liberalna i nieliberalna urzędowa i nieurzędowa bije na „vaterlandslose Unfehlbare:“ *Dziennik* już to wpierw powiedział, że Ultramontanie nie mogą być patryotami, nie mogą — z natury swéj kosmopolitycznéj (koresp. z Ustronia nr. 69.)

Urzędowe organa pruskie podają za przyczynę walki podjętéj przeciw Kościołowi Syllabus, którego zdania wywracają wszelki nowoczesny ustrój społeczny i państwowy: *Dziennik* już to od niepamiętnych czasów wyrzekł, że „papieztwo Syllabusem wykopało przepaść pomiędzy kościołem a cywilizacyą!“

Rząd pruski przez usta ministrów swych rości prawo do *nieomylności państwa* w rozsądzeniu, kto od czasu dekretu soborowego o nieomylności jest jeszcze starym katolikiem, a kto nowym czyli ultramontaninem: — *Dziennik* daleko go prześcignął tu; bo wedle niego ultramontanizm tylko się „uwieńczył przez ten *nowy dogmat*“, ale nie pierwszy to dopiero Pius IX. ultramontańskim papieżem; *Dziennik* ze swym korespondentem z *Ustronia* dokładnie przebrakował i wyliczył Ultramontanów pomiędzy Papieżami. (koresp. z Ustronia.)

Niebezpieczni to ludzie ci Ultramontanie, z nimi, wedle liberałów za rządem gardłujących, trzeba „stoczyć bój aż na noże“: ale czegoż oni innego warci, wedle *Dziennika* (ibid.), kiedy oni „dążą do samowładztwa nad całym światem“, „do restauracyi doczesnéj władzy, w czém pod maską religii mieści się najzwyczajniejszy interes materyalny“; którzy są obskurantami takimi, że „wstrzymują od wszelkiéj oświaty nietylko lud (tak, te *Dziennika* „ciemne masy ludu“), ale nawet ludzi, których zadaniem jest nauka, przez co (horribile!) wszelki postęp jest tym samym zanegowany“; którzy „przeciwni są wolności, a za despotyzmem w sojuszu z reakcyą i absolutyzmem.“

Nie napróżno ja taką wiązankę pletę z kwiatów antiultramontańskich: czemużby z tego bogactwa nie mieli korzystać bracia *Dziennikowi* z ducha, liberały pruskie, bawarskie, wiedeńskie, w ogóle niemieckie? „Schlagt ihn todt, den Hund, es ist ein Jesuit“, takie hasło przebrzmiewa dziś ze słów wielu waleczników antiultramontańskich: i tu się niejednego mogliby jeszcze nauczyć od *Dziennika*, wedle którego (ibid.)

„*działania ultramontanizmu* zupełnie na jedno wychodzą z dobrze (!) znanemi praktykami zakonu jezuickiego, ta sama natura ślizkiego węgorza, jak się ktoś malowniczo (sic!) wyraził; ultramontanie podobni także do tych, najpiękniejsze barwy i kształty kwiatów przedstawiających polipów które na dnie morza spoczywają, i *z mackami* swemi na wszystkie strony wypuszczonemi biédne nieostrożne żyjątka z nienasyconą chciwością połykają.“

Jakie to malownicze!

Rząd pono zamyśla o narodowym kościele bez Papieża: no, papieztwu *Dziennik* już dawno *testament* pisał!

Minister Mühler, jak mu to biskup warmiński zarzucił w sprawie Dr. Wollmanna, za najwyższą instancyą nad Kościołem chce mieć państwo!, a więc i siebie w sprawach religijnych kościelnéj natury: *Dziennik* podobnież, czy w sprawie doczesnéj władzy, czy w sprawach Syllabusa, czy innych, windykuje dla siebie, katolickiego dziennika, i dla swych czytelników katolickich, windykuje prawo sądzenia w najwyższéj instancyi, wyrokowania o dokumentach swego Arcypasterza i Papieża. Rząd wyrokuje w sprawie Kościoła „aus dem staatsrechtlichen Standpunkt“: *Dziennik* powołuje się téż na racye stanu: interesa „państwowe“ nasze.

Dziwna, dziwna zgoda! Ks. Bismark widzi pewne uprawnienie Komuny paryzkiéj: *Dziennik* pisze jak może jéj apologią, szpéra w przeszłości za dokumentami jéj uprawnienia i pisze dzieje Komuny we Francyi średniowiecznéj, która chyba nazwisko miała spólne z paryzką.

Skończyłem. A teraz niech mi będzie wolno parę słów dodać dla wytłomaczenia, czemu ten i inne artykuły podpisuję.

Otoż *Dziennik* nie walczy z *Tygodnikiem* nigdy na rozumy, nie rozpiera się o zasady, o trafne ocenienie rzeczy. Dla niego dosyć jest powiedzieć: to mówię ja, *Dziennik*, narodowiec, to wierzcie; a nie będę was wcale trudził zbijaniem tego, co twierdzi *Tygodnik*, Ultramontanin, zaprzaniec narodu, urzędowy organ, a więc twierdzi fałszywie.

Występuję tedy ja imiennie, żeby zmusić *Dziennik* do porządnéj dyskussyi. Milczenie jego będzie przyznaniem się do klęski. Odpowiedź jego musi trzymać się rzeczy, nie tykać osoby, któréj bronić będzie sąd prawych ludzi, a ostatecznie i sąd prawa, sądy państwa.

Ks. Wartenberg.

Nieraz sobie zadajemy pytanie, czyli się na co przyda polemizować z *Dziennikiem*. My podajemy argumenta i wywody, a *Dziennik* nie odpowiada na nie, nie zbija ich, tylko w kółko swoje powtarza: o inkwizycyi, o Targowicy, o ultramontanizmie itd., i dbając raczéj o rozniecenie podejrzeń i o krzewienie uprzedzeń, niż o podniesienie skali umysłowéj społeczeństwa, coraz mizerniejsze i coraz niedorzeczniejsze artykuły i korespondencye zamieszcza.

Z takimi korespondentami, jak korespondenci *Dziennika*, spór jest niepodobny i bezowocny. Co tu np. odpowiadać ludziom, którzy piszą:

„Chwalę powtórnie duchowieństwo odpychające zachcianki ultramontańskie, bo ono postępując stósownie do swéj godności religijnéj oraz narodowéj, strzeże się, by go nie wciągnięto w zaklęte koło.

albo:

„Dziedzictwo biskupa rzymskiego grabieżą zajęte przez rząd włoski nie jest sprawą religii i moralności (?!), ale sprawą własności osobistéj. Zatym o jego przywrócenie biskupowi rzymskiemu, którym jest Papież, wobec rządu naszego nie mamy prawa się starać, jakbyśmy nie mieli prawa wobec rządu starać się przez tenże sam rząd, by w Chinach zwrócono posiadłość biskupowi, gdyby któremybądź z tamecznych zagrabioną została.

albo:

„My Polacy, lubo jesteśmy katolikami nie możemy pisać adresów na rzecz świeckiéj władzy Papieża do Parlamentu Rzeszy niemieckiéj, bobyśmy występowali absolutnie przeciw narodowości — w danym tu razie przeciw jedności włoskiéj. Posiadłość rzymska, jakkolwiek jest własnością biskupa rzymskiego, jest jednak integralną cząstkę Włoch (!!), a jakkolwiek dzieje się osobisto (?) krzywda Biskupowi rzymskiemu, że mu Włosi odbierają posiadłości, a chcą dać pieniężną kompensatyą, z tém wszystkiém nie możemy być przeciw jedności Włoch. Włochy na prawie absolutnéj jedności oparte (!!), uczyniły krok konieczny (*grabież jest rzeczą konieczną!*) z natury i położenia rzeczy wynikający. (Nr. 185.)

albo:

„Posłowie nasi nie mają prawa występować w obronie świeckiéj władzy

Papieża lub przywrócenia rzymskich posiadłości Papieżowi. Pierwsze bowiem jest rzeczą czysto polityczną i nie należy do religii, drugie jest rze. czą Włoch (?), którym my przez rząd Niemiec rozkazywać nie możemy. (Nr. 182.)

albo:

...Zapominają (ulframontanie), że nie kto inny, jéno oni sami przez ślepą zaciekłość swą powagę Kościoła i Ojca św. tu w Polsce obalają, szukając pomocy dla wiary u niedowiarstwa, dla prawdy we fałszu, a lékarstwa na ucisk kościoła — w świeckim despotyzmie.

Ażeby zaś na to niegodne postępowanie zarzucić płaszczyk wiary i przywiązazia do niéj, ukuli sobie sofizmat, że nawet herezye, zwłaszcza gdy mają za sobą przewagę siły materyalnéj, powinny służyć i pomagać prawdziwéj wierze. A wszakżeż to dzieciom nawet uczącym się po szkołach historyi świętéj, znaną jest rzeczą, że P. Jezus nigdy z szatanami w żadne układy nie wdawał się, że owszém całe ich pułki przed Nim pierzchały.“ (Nr. 180.)

To są prawdziwie chińskie argumenta. Jednę uwagę uczyniliśmy już i jeszcze uczynić musimy. Zwierzchność duchowna zakazała pisywać do *Dziennika:* jakąż tedy rolę odegrywa to pismo, kiedy nieposłusznym a niepoczciwie kryjącym się za parawan duchownym kolumny swoje otwiera?

Dziennik oburza się na wszelką myśl zgody i porozumienia u nas. On nie rozumie jedno dyktaturę radykalizmu. *Orędownik* wstąpił od jakiegoś czasu na tór uczciwie pojednawczy. *Dziennik* się zżyma na to i drwiąco, a ironicznie smaga autora „Listów o wychowaniu.“

Dziennik pewnie myśli, że to bardzo dowcipnie tak pisać, jak pisze fejletonista jego, a my powiadamy, że nic łatwiejszego jak takie luźne przedrwiwanie. Cóżby rzekł na to, gdybyśmy np. taką ułożyli korespondencyą:

„Kochany Franusiu, Franiu, Franulku, Franuleczku — pozwól, że w pierwszym uniesieniu wyjdę na rynki, place, ulice, zaułki i będę wołał, żeś ty wielki, wielki, wielki — większy od korespondenta rzymskiego do *Tygodnia*, większy od korespondenta poznańskiego do *Kraju*, większy od wszystkich Sfinksów i Cyceronów politycznych Przemysławowego grodu. Kiedy ci poważny zastęp entuzyastek poznańskich powierzył pióro sekretarskie, już mnie zdumienie ogarnęło na widok, jak mało potrzebowałeś czasu, aby przybyć i zwyciężyć — co mówię — zwyciężyć? — aby podbić te serca okryte potrójnym pancerzem. Nie dość na tém: pomnąc na Twą ślizką naturę, umiejącą wszędzie się wcisnąć i narzucić, Twą odwagę bezprzykładną, która Cię prowadzi do wszelkich towarzystw prywatnych i publicznych: na posiedzenia teatralne, na posiedzenia agronomiczne, na posiedzenia żabikowskie, na posiedzenia ortograficzne, na posiedzenia naukowe, na posiedzenia zwołane celem naradzenia się o przyszłym dzienniku ks. Bażyńskiego na probostwie farnym: — zaiste wdzięczność niewymowną czuję ku *Przeglądowi lwowskiemu*, który cię tak prawdziwym, tak trafnym, tak dosadnym mianem Figara obdarzył: „*Figaro tu — Figaro tam.*“ — W tym wszystkim niezaprzeczona twa wielkość. Atoli cóż znaczy powiedzieć, żeś Ty wielki, kiedyś Ty genialny! Czego bowiem nie wymyślili wiekopomni autorowie instytucyi pandektów, o czym się ani śniło Cujatiuszowi, Monteskiuszowi, Blackstonowi, a nawet naszemu Przyłuskiemu — toś Ty wymyślił, że świadkowie tak świadczyć powinni, jak Ty sobie tego życzyć. Ale i to nic w porównaniu z szałem, jaki mnie ogarnął na wspaniały widok, jak nacierasz według wszelkich przepisów sztuki rycerskiéj na Twego sprzymierzeńca niegdyś, a dzisiaj przeciwnika w walce z ultramontanami. Dobrze mu tak za jego chwiejność i połowiczność: czemuż nie idzie z nami na przebój przeciw sprosnym ultramontanom? Uśmiercić każdego od razu, co nam nieposłuszny. Tak, Ty rozumiesz dobrze, że dyktatura radykalizmu zachwiałaby się i upadła, gdyby wyrazy: wyrozumiałość, zgoda, sprawiedliwość dla ludzi innych wyobrażeń nabrały znaczenia. Więc smagasz albo każesz smagać wszelki bunt przeciwko nieodzownéj wyłączności, która nas powoli doprowadzi do Komuny. Prawda, mam ja niejaką wątpliwość, czyś to Ty pisał, bo wiem, że z zasady nie piszesz poprawnie i potoczyście, i wiem, że wolisz raczéj dogmatyzować i nudzić, jakeś to w Twojéj obszernéj bijografii Kołłątaja uczynił: — ale czyś pisał czyś nie pisał — dość żeś umieścił a jam się rozkoszował, patrząc jakeś to bijąc pu obu bokach autora „Listów o wychowaniu,“ umiał mimochodem przypomnieć i zerwanie solidarności, i Targowicę, i petycye parkowskie, średnie wieki, inkwizycyą, tortury, Jezuitów i Zmartwychwstańców.“.....

Ale dosyć tego. Takbyśmy mogli pisać i przez dziesięć stronnic. Czegóżby to przecie dowodziło? Nie takiéj trzeba nam polemiki, jéno polemiki poważnéj i uczciwéj, którąby nie wmawiała niczego, sideł i podstępów nie mnożyła, ale wyświecała pojęcia i jawnie wykazywała, co kto istotnie myśli i do czego istotnie dąży.

My z naszéj strony wytrwamy na zajętym stanowisku i nie przestaniemy oświecać sumień i umysłów, a jeżeli nie będziemy mogli dyskutować z przeciwnikami naszymi, to przynajmniéj za pomocą ich własnych wyrazów wykażemy zawsze, czego chcą i gdzie nas doprowadzić zamyślają.

Wiadomości potoczne.

— Przez cały tydzień bieżący odbywały się w seminarium duchownym doroczne egzamina i trwały codziennie po sześć godzin. Najprz. ks. Prymas znajdował się na nich nieprzerwanie od początku do końca.

— Jutro w kościółku Panny Maryi święcić będzie ks. Prymas dyakonów z Gniezna na kapłanów.

— Wczoraj i dzisiaj Najprz. kz. Biskup Suffragan Janiszewodbywał wizyty pasterskie w zastępstwie Arcypasterza w kościołach: św. Małgorzaty i farnym. Kościół św. Małgorzaty wiele zyskał od ostatniéj wizyty, albowiem odnowiono w nim bardzo starannie kaplice boczne św. Filipa Neriusza i św. Barbary, i wchód do zakrystyi odmieniono. U fary examinował ks. Biskup blizko przez godzinę dzieci szkólne i w końcu do nich przemówił.

— Adres Parkowski podpisały znowu następujące parafie:

Z parafii	**Koźmin pod Babimostem**	**podpisów**	**68.**
„	**Kwieciszewskiéj**	„	**182.**
„	**Wysockiéj**	„	**46.**
„	**Xiąża**	„	**102.**
„	**Dębno**	„	**123.**
„	**Sulmierzyce**	„	**220.**
„	**Kalau**	„	**100.**
„	**Radomickiéj**	„	**136.**
„	**Kutschkau**	„	**30.**
„	**Kotłowska**	„	**235.**
„	**Altenhof**	„	**115.**
„	**Kuschten**	„	**19.**
„	**Gollmust**	„	**65.**
„	**Kalzig**	„	**68.**
„	**Międzyrzecz**	„	**4.**
„	**Tirschstiegel**	„	**160.**
„	**Nakielskiéj**	„	**190.**
		Razem	**1863.**
		Ze spisu poprzed.	**15,537.**
		Ogółem	**17,400.**

— W dniu 7 b. m. zasnął w Panu jeden z najpobożniejszych, najpokorniejszych i najzasłużeńszych katolików Wielkopolski, ś. p. Edmund Bojanowski, założyciel zgromadzenia Służebniczek Najśw. Panny Maryi. Wkrótce postaramy się oddać hołd obszerniejszy pamięci jego. Teraz wspomnimy tylko, że przez ciąg żywota swego, który trwał zbyt krótko, bo tylko lat 52, był on wzorem cichéj pobożności, łagodnéj wyrozumiałości i wyrzeczenia się siebie. W ostatnich latach zapragnął zostać kapłanem i resztę sił swoich na sumiennym przygotowaniu się do tego św. zawodu stargał — Od roku zamieszkał w Górce duchownéj i tam śmierć go zaskoczyła. Pielęgnowały go w ostatniéj chorobie jego Służebniczki, które śmiało nazwać możemy córkami jego duchownemi. Ciało przeprowadzono do Jaszkowa, gdzie je wczoraj, 11 b. m. pochowano. Na pogrz b zjechały się wszystkie prawie Służebniczki z dyecezyi naszéj. Przyjaciel zmarłego ks. Antoni Brzeziński, Filipin, przemówił z rozrzewnieniem w czasie żałobnego nabożeństwa. Spuszczono potym zwłoki do grobu i spoczywać tam będą w Jaszkowie, w pobliżu nowicyjatu, oczekując dnia zmartwychwstania. Nadeszło błogosławieństwo Ojca św. wszelako już zapóźno, bo ś. p. Edmund już nie żył.

Korespondencya Redakcyi.

X. O. w Kr. Odebraliśmy. Teol. X. Kr. już nie mamy. — Przyślemy.

Nakładzca i Redaktor X. J. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.